

Księga II

ZAPROSZENIE

Swaci

Na biurku Kane'a Taggerta paliły się wszystkie światełka konsoly telefonu, ale kiedy rozdzwonił się jego prywatny numer, przerwał rozmowę na „szóstce” i podniósł słuchawkę osobnego aparatu. Linia była przeznaczona dla rodziny i opiekunów dwójki synów Kane'a.

- Mama? - spytał, odwracając się z fotelem i spozierając na horyzont obramowany nowojorskimi drapaczami chmur. - Cóż za miła niespodzianka.

Nie pytał o nic, ale wiedział, że matka czegoś chce lub potrzebuje, bo gdyby chodziło tylko o pogawędkę, nie dzwoniłaby w porze pracy giełdy.

- Muszę prosić cię o przysługę.

Kane okazał hart ducha i nie jęknął. Przed pięcioma miesiącami jego brat bliźniak ożenił się i od tej pory matka nieustannie usiłowała skierować na ślubny kobierzec owdowiałego drugiego syna.

- Myślę, że przydałyby ci się wakacje.

Teraz jednak jęknął. Zerknął na konsolę. „Czwórka” zaczęła mrugać, co znaczyło, że Tokio zaraz się rozłączy.

- Kawa na ławę, mamó - westchnął. - Jaką torturę mi szykujesz?

- Twój ojciec nie czuje się najlepiej i...

- Przylecę...

- Nie, nie w tym rzecz. Chodzi tylko o to, że przez swoje

miękkie serce znowu wpakował się w kabałę i obiecałam mu pomóc się wyplątać.

To było stałe zjawisko w domu rodziców. Ojciec często gęsto oferował ludziom pomoc i brał na swoje barki za dużo. Pracował za dużo. Troskliwa żona musiała więc przyjmować na siebie rolę sekretnicy i uwalniać go od zobowiązań.

- W co się tym razem uwikłał? - zapytał Kane. Świątełko numer cztery zgasło.

- Wiesz, Ciem, ten nasz sąsiad - udzielając takich wyjaśnień, dawała do zrozumienia, że Kane od tak dawna nie pojawiał się w domu, iż mógł zapomnieć człowieka znanego mu od kołyski - często zabiera ludzi ze Wschodniego Wybrzeża na konne wyprawy. No i zeszłego miesiąca pojechał z szóstką facetów i dostał trochę w kość. Posunął się w latach i to wspinanie się po górach sporo go kosztuje.

Kane nie odzywał się słowem. Ciem był silny i żyłasty jak mustang, i Kane dobrze wiedział, że stan zdrowia tego „staruszka” nie ma absolutnie żadnego związku z tym, do czego matka chce go nakłonić.

- W każdym razie twój ojciec zobowiązał się, że poprowadzi następną grupę.

Ciem lubił uczestniczyć w różnych intrygach, więc jeśli wrobił lana Taggerta w przewodnictwo następnej wycieczki, miał ku temu jakiś powód.

- Ponura sprawa, co? - zapytał Kane. - To była banda świrów, prawda?

Pat Taggert westchnęła.

- To było okropne. Wiecznie niezadowoleni. Bali się koni. Szef zalecił im wycieczkę, a im się to wcale nie uśmiechało.

- Nie ma nic gorszego. Więc w co Ciem wrobił tatę tym razem?

Pat odezwała się gniewnie;

- Ciem pewnie wiedział, że następna grupa będzie z tego samego przedsięwzięcia, ale... Kane...

- Rozumiem, że najgorszego jeszcze nie powiedziałaś.

- To kobiety! Ciem wiedząc o tym poprosił twojego ojca O poświęcenie na to dwóch tygodni. Ma być przewodnikiem czterech kobiet z Nowego Jorku, które będzie trzeba ciągnąć za sobą na siłę. Wyobrażasz sobie coś podobnego?! Och, Kane, nie możesz pozwolić...

Kane wybuchnął śmiechem.

- Mamo, daleko ci do oscarowych ról, więc daruj sobie tę komedię. Chcesz, żeby twój owdowiały syn... twój biedny, samotny, owdowiały syn... spędził dwa tygodnie w wyłącznym towarzystwie czterech panien na wydaniu i może znalazł matkę dla swoich synów.

- Krótko mówiąc, tak - powiedziała zniecierpliwiona Pat.
- Jakim cudem możesz kogoś poznać, jeśli od rana do nocy siedzisz w pracy? Te cztery panie mieszkają w Nowym Jorku, mieście, które ty i Mikę wybraliście do zamieszkania, i...

W przewodach telefonicznych brzęczały nie wypowiedziane słowa o tym, jak to Kane i jego brat opuścili dom rodzinny i zabrali dziadkom wnuczeta.

- Odpowiedzią jest jednoznaczne nie - odparł Kane. - Nie! I tyle, mamo. Potrafię znaleźć sobie żonę bez twojego swatania.

- W porządku - westchnęła Pat. - Wracaj do swoich telefonów.

Po tych słowach odłożyła słuchawkę i Kane przez moment wpatrywał się w aparat i marszczył czoło. Musi posłać matce kwiaty, a może jakiś kosztowny drobiazg. Ale przecież wiedział, że kwiaty i biżuteria to żałosny substytut wnucząt.

Tego wieczoru znalazł się w domu dopiero po ósmej i do tej pory jego szwagierka, Samantia, zadbała już, żeby bliźniaki spały słodko w łóżkach. Mikę był w sali ćwiczeń, więc Kane ucałował śpiące dzieci i wszedł do bawialni, gdzie zastał Samanthę. Była w zaawansowanej ciąży i zdawało się, że gdy krąży po willi, zajmując się parą dorosłych mężczyzn i dwójką aktywnych pięcioletków, nie odejmuje rąk od krzyża. Kane miał w Nowym Jorku własne mieszkanie, nie umeblowane pokoje zapełnione w większo-

ści dziecinnymi zabawkami, i dysponował częścią domu rodziców w Kolorado, lecz po tym, jak brat przedstawił go Samancie, Kane i dzieci stopniowo przenieśli się do willi Mike'a. Kane widział w tym rękę Sam, która chciała mieć wokół siebie rodzinę, a skoro ona czegoś chciała, Mike starał się jej to zapewnić.

Nie proszona przyniosła Kane'owi piwo w zimnym kuflu. Tysiąc razy powtarzał, żeby go nie obsługiwała, ale była uparta jak muł. Odstawił naczynie, wstał i pomógł jej usiąść w jednym ze skórzanych, przepaścistych foteli. Nie była co prawda ciężka, lecz nie sterowna jak zeppelin.

- Dzięki - powiedziała, po czym wskazała piwo skinieniem głowy. - Ja chcę ci usłużyć, a ty mi to uniemożliwiasz, przez to, że wstajesz, żeby mi pomóc.

Uśmiechnął się do niej, siadł i jednym haustem opróżnił połowę kufła. Czasem tak bardzo pragnął tego, co należało do brata, że żądza przepalała go do trzewi. Pragnął żony, która kochałaby jego i jego synów, pragnął własnego domu. Chciał wreszcie przestać żyć zastępczo życiem brata.

- Wyduś to z siebie - powiedziała Sam.

- Ale co?

- Nie lepszy z ciebie kłamca niż z Mike'a. Co cię gryzie?

Chciał odpowiedzieć: ty. Miłość do własnej szwagierki, początki nienawiści do własnego brata.

Nie mógł wyznać prawdy, więc opowiedział o telefonie matki.

- No i co ty na to? - spytała Sam.

Upřednio nie brał pod uwagę zaproszenia, lecz nagle uznał, że dwa tygodnie na górskim bezludziu spędzone w towarzystwie czterech kobiet to nęcąca perspektywa. Są mieszkankami Nowego Jorku, więc będą lękały się przepaści, odgłosów nocy i na pewno zakochają się na zabój w swoim przewodniku-kowboju. Kobieta z Nowego Jorku zobaczy mężczyznę w dżinsowej koszuli, parze Levisów i znoszonych kowbojskich butach, i już będzie jego. Wystarczy przerzucić nogę przez koński grzbiet, a pewnie zemdleje.

Dopił piwo i uśmiechnął się. Myśl o kobiecie wpatrzonyj

w niego roziskrzonym wzrokiem była całkiem przyjemna. Samantha spozierała na Mike'a tak, jakby był olimpijskim bogiem, a synkowie Kane'a traktowali ją jak prawdziwą matkę.

- Myślisz, że mógłbyś pojechać?

- Może - odparł dźwigając się z fotela. - Wypiłbym jeszcze jedno piwo. Podać ci coś?

- Na ladzie w kuchni leży fax od Pat. Jest w nim wszystko o tych czterech paniach, które wybierają się na wycieczkę.

Popatrzył na nią zdumiony. Wzruszyła ramionami.

- Zadzwoiła i powiedziała, że ma nadzieję, iż zmienisz zdanie. Kane, jedna z tych kobiet to wdowa. Trzy lata temu miała wypadek samochodowy, w którym zginął jej mąż. Ona sama potem poroniła.

W kuchni przeczytał fax. Wdowa nazywała się Ruth Edwards i matka nawet zdobyła jej zdjęcie. Mimo niewyraźnej odbitki widać było, że jest piękna; tak wysoka, długonoga i ciemnowłosa jak jego ukochana żona.

Szybko zapoznał się z informacjami o pozostałych trzech turystkach. Jedna pomagała w salonie fryzjerskim, druga prowadziła w Village sklep z artykułami do zabiegów parapsychologicznych, a ostatnia była drobną śliczną blondynką, której nazwisko wydawało mu się mgliście znajome.

- Pisarka powieści kryminalnych - odezwała się zza jego ramienia Sam.

Stała tak blisko, że brzuchem dotykała boku Kane'a, ale od brzucha do twarzy był prawie jard.

- Przeczytałaś którąś z jej powieści?

- Wszystkie. Kupuję je, gdy tylko pojawią się w księgarniach.

- Skoro już o pisarzach mowa... Co z książką Mike'a?

- Naszą książką - powiedziała z naciskiem, wiedząc, że Kane się droczy - wyjdzie za pół roku.

Mówiła o napisanej wspólnie z Mike'em biografii *Chirurg Elliota Taggerta*. Na pseudonim składało się jej panięskie nazwisko i nazwisko Mike'a.

- No i? - powiedziała niecierpliwie. - Jedziesz?

- Zajmiesz się chłopcami?

Było to retoryczne pytanie i oboje o tym wiedzieli.

- Na zawsze.

- To wystarczy, żeby warto było sprawdzić te panie od mamy.

Oczy Sam zabłysły.

- Pat posłała po ciebie odrzutowiec. Masz być na lotnisku jutro rano o ósmej. Samolot wyleciał już z Denver.

Kane nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. W końcu wydał ni to chichot, ni to jęk, objął Sam ramieniem i ucałował w policzek.

- Czy wyglądam na tak samotnego, jak się to zdaje wam, kobietom?

Nawet bardziej, pomyślała Sam, ale zachowała to dla siebie. Cieszyła się, że Kane znajdzie się między ludźmi.

Wiecie, co idealnie ostudza męskie zapały? Nie, nie śmiech, gdy facet szaleje z namiętności. Idealnym, gwarantowanym kubłem zimnej wody na męskie zapały, czymś, na co możesz postawić każde pieniądze, jest powiedzenie mu, że więcej zarabiasz.

Faceci uważają, że jest całkowiec w porządku, jeśli jakaś tępa, odmóżdżoną paniusia dziedziczy miliony - w końcu wcześniej jakiś mężczyzna zarobił tę forszę. Ale wiercie mi, nie lubią dowiadywać się, że istota płci odmienniej zgarnęła ostatniego roku milion czterysta tysięcy dolarów i, co więcej, zarobiła wszystkie te pieniążki sama, samiuteńka, bez żadnej, ale to żadnej męskiej pomocy.

Pięć lat temu liczyłam sobie dwadzieścia pięć wiosen, wykonywałam nudną, nie rokującą żadnych perspektyw pracę - im mniej mowy na ten temat, tym lepiej - i mieszkalam w nudnej, zapadłej mieścinie na środkowym zachodzie, o której nie powiedzieć nic to i tak powiedzieć za dużo. Jak zawsze, żeby czymś się zająć i uratować umysł przed skostnieniem, opowiadałam sobie różne historie. Wiem, byłam tylko ćwierć cala od granicy, za którą czyha rozdwojenie jaźni, ale już we wczesnej młodości odkryłam, że albo dam nura w świat wyobraźni, albo i tak dostanę kręćka. Mój ojciec bał się własnego cienia, dlatego na każdym kroku domagał się od rodziny absolutnego posłuszeństwa. Musiałam nosić to, co dyktował, jeść to, co kazał, lubić to, co zarządził, ruszać się tam, gdzie

wskazał. Kontrolował każdy odcinek mojego życia, dopóki w wieku osiemnastu lat nie uciekłam, ale zanim to nastąpiło, odkryłam, że mam coś, czego kontrolować nie może - mój umysł. Co prawda musiałam nosić się na niebiesko, kiedy wolałam czerwień, i zakazywano mi piwa imbirowego, bo ojciec go nie cierpiał, ale zawartością swojej głowy rządziłam sama. W myślach robiłam to, co chciałam, chodziłam tam, gdzie mi się podobało, wypowiadałam te wszystkie mądre wnioski, do którym sama dochodziłam, i byłam chwalona za ich wygłaszanie. (Mój ojciec miał skłonność do bicia po wygadanych buziach, co bardzo skutecznie wpływało na zachowywanie własnych myśli dla siebie.)

Kiedy miałam dwadzieścia pięć lat, mieszkałam kilka mil od domu rodziców i starałam się, jak mogłam, by zaoszczędzić tyle pieniędzy, żeby wystarczyło na bilet w jedną stronę, a więc spisałam jedną z tych historyjek. Tak powstała moja pierwsza powieść kryminalna. Zabójczynią była młoda kobieta, która pozbyła się ojca tyrana. Po napisaniu pomyślałam sobie: A co mi szkodzi? I wysłałam ją do wydawnictwa. Nawet nie marzyłam o tym, że ją wydrukują. Pewnie wielu ludzi ma serdecznie dosyć ojców i małżonków, którzy kierują za nich ich życiem, bo po dwudziestu ośmiu dniach dostałam list z zapytaniem, czy mogą wydać moją książkę i czy zgadzam się łaskawie przyjąć za to kupę forsy.

Pomyślałam wtedy: Ale granda! Ci ludzie są gotowi zapłacić mi za coś, co robiłam przez całe życie.

Nadal tak myślę.

Za honorarium przeprowadziłam się do Nowego Jorku. Nigdy przedtem nie mieszkałam w wielkim mieście, ale wydało mi się, że to odpowiednie miejsce dla pisarza - bo byłam już pisarzem, nie znudzonym nikiem, balansującym na krawędzi rozdwojenia jaźni - wynajęłam małe mieszkanie i kupiłam komputer.

Przez następne cztery lata rzadko kiedy podnosiłam głowę nad klawiatury. Tłukłam jedną powieść za drugą. Wykończyłam znie-nawidzonego wujka. Wykończyłam kilka koleżanek z pracy, które zadzierały nosa, a w kolejnym bestsellerze wykończyłam całą bandę kibicujących licealistek.

Podczas tych czterech lat ujrzałam zupełnie inny świat niż ten, w jakim wyrastałam. Ludzie byli pod wrażeniem mojej zaradności. Na pewno powiedziałam wam, że ojciec był tyranem, ale czy wspomniałam też, że był najbardziej leniwym stworzeniem pod słońcem? O ile mi się zdaje, w pracy był popychadłem, nigdy nikomu nie umiał się postawić i inni nim rządzili. Natomiast w domu swoją wściekłość wylewał na mnie. Matka dawno temu schroniła się we własnym niewidzialnym świecie i używanie sobie na niej nie dawało mu żadnej rozrywki. Ja natomiast dostarczałam mu prawdziwej satysfakcji: płakałam, cierpiałam, kipiałam z wściekłości i czułam niesprawiedliwość tego wszystkiego.

Ale mimo wszystkich swoich wad ojciec sprawił, że wyrosłam na osobę zaradną i nieustraszoną. Wiercie mi, po tym, jak się pożyło z kimś takim jak mój ojciec, nic, co ktoś inny mi powie lub zrobi, nie może mnie już mocno zranić. Sadyści biorą swoje ofiary pod lupę, natomiast większość ludzi jest zbyt skupiona na sobie, by przejmować się innymi. I tak dzięki treningowi, jaki przeszłam w dzieciństwie, zostałam bardzo zaradną kobietą interesu. Pisałam nieustannie, sama negocjowałam warunki umów, bez żadnego wsparcia inwestowałam zarobione pieniądze i po czterech latach kupiłam poddasze przy Park Avenue. Osiągnęłam sukces - i miał on iście olśniewające wymiary.

A jakie miałam życie osobiste? Myślę, że żadne. Moja redaktorka wyciągała mnie od czasu do czasu z domu, a gdy pisałam bez przerwy całymi dniami, nawet dostarczała mi jedzenie. Ale redaktorki nie przynoszą zaproszeń na randki. Autorzy, którzy się zakochują, autorzy, którzy prowadzą życie towarzyskie - nie piszą. Myślę, że gdyby to zależało od wydawnictw, zamknęłyby wszystkich swoich najlepiej sprzedających się pisarzy w wieżowcach przy Park Avenue, przysyłały im żywność i nigdy nie wypuszczały poza mury.

Więc po pięciu latach pisania, po zarobieniu milionów, po zdobyciu światowej sławy zdecydowałam się przyjąć zaproszenie Ruth Edwards i pojechać na dwutygodniową wyprawę konną po bezdrożach Kolorado.

Szef Ruth obejrzał film *Mieszczuchy* i zdecydował, że jego menedżerowie płci męskiej zdobędą niezbędne doświadczenie życiowe, jeśli pojadą na konną wycieczkę i odbiorą własnoręcznie cielaka lub coś innego, więc ci oczywiście pojechali. Na nie szczęście, szef w ostatniej chwili uznał, że jego małżeństwo ma priorytet i pofrunął z żoną na Bermudy, a jego menedżerowie mieli hartować się na twardzieli żując fasolę i zwęgloną wołowinę. Oczywiście, po powrocie wszyscy oświadczyli, że przeszli prawdziwą szkołę życia, i szef nigdy nie zobaczył tarczy do rzutków przykrytej mapą Kolorado, na której wyrysowano w środku koński łeb.

Po powrocie męskiej części załogi szef oznajmił, że wszystkie pracowniczki powinny udać się na podobny rajd i odnaleźć ten sam głęboki spokój ducha, jakiego zakosztowali panowie. Ponieważ, jeśli nie liczyć sekretarek, cały żeński zespół - który zarządzał firmą podczas dwutygodniowego pobytu mężczyzn w Kolorado - składał się z Ruth, dowiedziała się, że ma sobie dobrać trzy przyjaciółki i jechać z nimi.

Wtedy właśnie zatelefonowała do mnie. Nawet zdobywając się na krańcowy wysiłek wyobraźni nie można nazwać Ruth i mnie przyjaciółkami. Byłyśmy razem w college'u i na pierwszym roku sąsiadowaliśmy przez korytarz. Ruth przysłała na świat w bogatej rodzinie i kochający rodzice wzięli sobie za cel życiowy podtykać córeczce pod nos wszystko, czego chciała, podczas gdy ja jechałam na pożyczce rządowej, co weekend zasuwałam do domu ojca, strzygłam trawniki, prałam i zaspokajałam nienasyconą ojcowską potrzebę pomniejszania najbliższych. Pochodzenie nie dawało Ruth i mnie wiele wspólnego materiału do konwersacji.

Poza tym była Ruth jako taka. Wysoka, z burzą gęstych, czarnych włosów, które zawsze układały się tak, jak ona sobie życzyła. Miała fantastyczne ciuchy i należała do dziewcząt, które nawet do grubej zwykłej bluzy wiążą na szyi apaszkę od Hermesa, więc stale otaczał ją wianuszek przyszczatych, przysadzistych dziewczuch z olśnionymi gałami. Adoratorki stale się zmieniały,

gdyż nie wystarczało im sił na bieganie na posyłki dla Ruth i wielbienie jej, więc płynność składu akolitek była spora.

Ponieważ ja zawsze miałam nos w książce, obserwowałam Ruth wyłącznie z dala - dobra, obserwowałam ją z zazdrością, roiłam sobie, że jestem brzydkim kaczątkiem i pewnego dnia podskoczę o stopę, włosy zaczną mi się kręcić, i stanę się duszą towarzystwa, zamiast zawsze mówić nie to, co trzeba, nie wtedy, kiedy trzeba - i nie miałam pojęcia, że ona wie o moim istnieniu.

Nie doceniałam Ruth. Żadna kobieta, która przed trzydziestką potrafiła osiągnąć szczytową pozycję w swojej specjalności, nie powinna być niedoceniana.

Zadzwoiła i naopowiadała mi, jak to jest dumna z moich sukcesów, jak to śledzi je od lat i jak bardzo zazdrościła mi w college'u.

- Naprawdę? - usłyszałam samą siebie. Zadając to pytanie wywaliłam oczy jak jakaś smarkula. - Ty zazdrościłaś mnie?

Chociaż wszystko mówiło mi, że każde słowo, które slysze, to bujanie gościa, byłam pochlebiona. Opowiedziała mi, jak to obserwowała mnie w szkole i widziała szacunek, jakim darzyli mnie inni studenci, chociaż ja pamiętam, jak wszystkim zależało jedynie na tym, by wrobić mnie w pisanie ich prac semestralnych. Ale że Ruth nie ustawała w pieniach pochwalnych na mój temat, nie przerywałam jej. Ludzie nie mają pojęcia, jak pisarze są rozpaczliwie spragnieni pochwał. Jest takie powiedzenie: do pisania potrzeba jednego - najgorszego dzieciństwa, jakie tylko da się przeżyć. Będąc dzieckiem starałam się zrobić wszystko, by zasłużyć na pochwałę ojca: dostawałam same piątki, wykonywałam dziewięćdziesiąt procent obowiązków domowych, zabierałam mądrze głos wtedy, kiedy wydawało mi się, że on tego ode mnie oczekuje, i starałam się siedzieć jak mysz pod miotłą wtedy, kiedy tego się po mnie spodziewał. On tymczasem czerpał rozkosz ze zmieniania zasad i niemowie nia mi o tym. Zwykłam widzieć siebie w roli glinianej kacuszki na odpustowej strzelnicy. Przesuwam się i czasem facet z wiatrówką mnie załatwia, a czasem wychodzę

nietknięta. Miałam więc co prawda ekscytujące dzieciństwo, ale gdy dorosłam, gotowa byłam zrobić prawie wszystko za pochwałę. Nie można kupić mnie za pieniądze, krzyk nie jest w stanie zmusić mnie do zrobienia czegokolwiek wbrew mojej woli, ale rzućcie mi kilka słów pochwały i jestem wasza.

Więc Ruth naopowiadała mi wiele wspaniałości na temat mojej osoby i o tym, że przeczytała wszystkie moje książki. Co zastanawiające, w ulubionym utworze Ruth ofiara była wzorowana na niej. Nie dość tego. Zabójca ogolił jej głowę, brwi i rzęsy, aby nawet w trumnie wyglądała okropnie.

W każdym razie wyznała, że musi jechać na tę wycieczkę do Kolorado i chce, żebym się z nią wybrała, co pozwoli nam „odnowić” przyjaźń.

Przyznaję z obrzydzeniem: to wszystko zamąciło mi w głowie. Wyobraziłam sobie, że teraz, gdy zdobyłam sławę i bogactwo, kobiety pokroju Ruth uznały mnie za równą sobie. Przestałam być nikim z małego miasteczka. Teraz jestem Kimś.

Na nieszczęście, kolejny raz nie doceniłam Ruth albo może przeceniłam ją, bo zaledwie dotarłam do Kolorado, olśniło mnie, że zaprosiła mnie tylko po to, aby wyrzeć wrażenie na swoim szefie. Po powrocie do Nowego Jorku będzie mogła mu powiedzieć, jak to zaprosiła swoją dobrą, starą przyjaciółkę, autorkę bestsellerów, Cale Anderson.

Pojęłam to nie prowadząc żadnego śledztwa. Kiedy tylko wysiadłam z małego jak zabawka samolociku, ze śmigłem na grubej gumce, obok jakiegoś Chandler, stan Kolorado, Ruth przebiegła przez lotnisko i rzuciła mi się na szyję. Wspaniałe. W twarz wepchnęła mi podejrzanie twarde cycki, w ustach miałam pełno jedwabnej apaszki, a mój starannie nałożony makijaż zupełnie się rozmazał. Za Ruth, tak jak w college'u, stały dwie kobiety i patrzyły na nią z uwielbieniem.

- Cale - powiedziała Ruth - to Maggie i Winnie.

Nie wyjaśniono mi, która jest która, ale jedna była tłusta i mrugnęła do mnie, a druga była chuda i mała, i z miejsca

wiedziałam, że zaraz zaczniesz mnie pouczać o zaletach ziołolecznictwa.

Uśmiechnęłam się na przywitanie i zastanowiłam, czy nie wrócić biegiem do samolociku, ale pilot szarpnął za gumkę i maszyna turkocząc jak lokomotywa oddaliła się pasem startowym. Stało przy nim kilka hangarów, jeden zamknięty, a w drugim - przysięgam na Boga, to prawda - zobaczyłam dwupłatowiec z czasów pierwszej wojny światowej. Popatrzyłam jeszcze raz na Ruth - i ona, i jej satelitki nie wydały mi się wcale takie straszne.

Wtedy Ruth, uśmiechając się, rzuciła przez ramię:

- Kochana Cale, będziesz taka miła i weźmiesz moją niebieską walizkę? Nie daję sobie z tym wszystkim rady.

Jakim cudem potrafię negocjować wielomilionowe kontrakty i dostać czego chcę, potrafię pisać o kobietach, które umieją walczyć o swoje, ale gdy stoję twarzą w twarz z taką Ruth, stać mnie tylko na to, by kipiąc z wściekłości targać za nią jej przeklętą walizkę? Czy to dlatego, że matka mnie nie kochała? Niech to diabli! Matka nie pamiętała, że żyję, dopóki toaleta nie domagała się posprzątania, więc należałoby się spodziewać, że mogę nienawidzić kobiet. Zamiast tego byłam gotowa zrobić wszystko, aby przypodobać się jednej z nich.

I tak to wyglądało: duchowo byłam zdrowa i wściekła, a fizycznie dźwigałam cholerną walizkę Ruth razem z trzema własnymi, podążając za jej dwoma żołnierzami, również obładowanymi bagażem jaśnie pani, podczas gdy jej królewska wysokość wolna jak ptak frunęła przed nami ku Bóg wie czemu. My byliśmy szeregowcami, a ona generałem wiodącym do ataku.

Zanim dobrnęliśmy do skrajnego pasa - to było prywatne lotnisko, więc nie czekała tam na nas żadna miła, wygodna hala przylotów - Ruth zahamowała i niedbałym skinieniem dłoni nakazała nam postawić bagaże.

O, dzięki ci, łaskawa pani, pomyślałam, opuściłam jej drogą walizkę i spoczęłam na niej.

Ruth adorowana spojrzeniami swoich dwóch kurdupli - o ile

pamiętam, żadna z akolitek nigdy nie dorównywała jej wzrostem; lubiła niskie i zaniedbane - powiedziała:

- Ktoś powinien tu na nas czekać.

Rozglądała się po lotnisku marszcząc brwi. Nie widać było żywego ducha i jakoś nie chciało mi się wierzyć, aby Ruth była kiedykolwiek wystawiona na czekanie.

Bardzo mało dowiedziałam się o tej całej wyprawie. Instrukcje Ruth były nad wyraz skąpe, ale za to opowiedziała mi ze szczegółami, dlaczego uwielbia *Koniec z kibicowaniem*. To jeden z najlepszych moich pomysłów: uczennica liceum ma po dziurki w nosie opuszczania piątkowych zajęć z chemii, kiedy to musi kiblować na sali gimnastycznej i dopingować bandę durniów uganiającą się za piłką, więc wysadza w powietrze wszystkie kibicujące dziewczuchy, udowadniając raz na zawsze, że chemia jest bardziej użyteczna niż koszykówka. W każdym razie pławiłam się w pochwałach Ruth i gdy oznajmiła: „Zostaw wszystko mnie”, usłuchałam gładko. Przecież do tej pory byłam już przekonana, że to jeden z największych geniuszów naszych czasów.

A teraz siedziałam sobie w słońku Kolorado. Za jedyne pocieszenie mogła mi tylko posłużyć nadzieja, że na pewno wykorzystam to doświadczenie do napisania książki. Może zabójcą uczynię pisarkę kryminałów? Wykończy wysoką brunetkę, Edwinę Ruthan, i umknie karzącej ręce sprawiedliwości. A może na końcu policjant powie: „Wiem, że ty to zrobiłaś, ale chodziłem z Edwina, więc sądzę, że wyświadczyłaś światu przysługę. Jesteś wolna. Tylko nie rób drugi raz tego samego.”

Oczywiście, coś takiego nigdy by się nie zdarzyło, bo jedynymi stworzeniami, które bardziej uwielbiały Ruth niż nie mające własnego życia kobiety, byli mężczyźni. Niscy mężczyźni, wysocy mężczyźni, brzydcy mężczyźni, fantastyczni mężczyźni, mężczyźni każdego rodzaju-wszyscy ją podziwiali. Jakimś cudem te całe pięć stóp osiem cali Ruth potrafiło wmówić mężczyznom, że jest maleńka, urocza i rozpaczliwie potrzebuje pomocy. Potrzebuje pomocy takjak King Kong. Jak Cybill Shepherdnie makawalera na szkolną potańcówkę.

W jakieś dwie minuty po tym, jak zdecydowałam się opuścić ten stan na zawsze, niebieski pikap zahamował przed nami z piskiem kół. „Przed nami” to eufemizm. Furgonetka zatrzymała się tak, aby kierowca mógł przyjrzeć się Ruth. Reszta nas - zgrzana, zmęczona, znudzona, siedząca na walizkach Ruth - miała widok na koła i podrapaną karoserię.

Popatrzyłam na Ruth i zorientowałam się, że kierowca jest gdzieś między dojrzewaniem, a męską menopauzą, ponieważ zmarszczki natychmiast znikły z czoła Ruth i zastąpiło je rozflirtowane spojrzenie, z jakim oparła się o pikap od strony fotela pasażera.

- Czy pan Taggart? - zamruczała jak kotka.

Chciałabym umieć mrużyć jak kotka. Gdyby podjechał sam Mel Gibson, to i tak pewnie usłyszałyby ode mnie: „Spóźniłeś się.”

Z auta zahuczał czyjś głos i nawet ja poczułam w nim męskość. Albo kierowcą był kowboj ujeżdżający ogiery, albo nauczyli jakiegoś byka szoferki.

Ruth zatrzepotała rzęsami i zakwiliła:

- Nie, wcale się pan nie spóźnił. To my jesteśmy za wcześnie. Cóż za kretynstwo!

- Oczywiście, że panu wybaczymy, co dziewczyny? - zapytała, spoglądając na nas z uwielbieniem w oczach. Nie nazwano mnie dziewczyną od tak dawna, że niemal mi się to podobało.

Otworzyły się drzwi i tuż przed sobą zobaczyłam jak koła - koła ciężarówki, koła ubłocone, męskie koła! - unoszą się do góry. Przysłano jakiegoś wielkoluda. Nadal znudzona, zastanawiając się, czy gdzieś w tej pipidówce przyjmują American Express, co pozwoliłoby mi się stąd wydostać, przyglądałam się jego nogom, kiedy obchodził auto. Nosił kowbojskie buty, ale nie były uszyte ze skóry żadnego egzotycznego zwierza i wyglądały na bardzo zużyte. Kopał nimi krowie placki?

Właśnie w chwili, gdy obchodził tył pikapa, kichnęłam, więc zobaczyłam go jako ostatnia. Najpierw ujrzałam Maggie i Winnie - a może Winnie i Maggie. Odebrało im mowę i miały otwarte usta.

No, wspaniale, pomyślałam siąkając nos. Przysłali jakiegoś przystojnego kowboja. Niech oczaruje miejskie paniusie.

Ze wstydem przyznaję, że kiedy sama podniosłam oczy, zareagowałam tak fatalnie jak duet i gorzej niż nasza nieustraszona przywódczyni. Nazywał się Kane Taggert i był cudowny: czarne kręcone włosy, ciemne oczy, ciemna karnacja, bary takie, że łoś zzieleniałby z zazdrości, a wyraz twarzy miał tak słodki i łagodny, że kolana zrobiły mi się jak z waty. Gdybym nie siedziała, to padłabym plackiem na ziemię.

Ruth nie przestając trzepotać rzęsami przedstawiła nas i wyciągnął rękę, by się ze mną przywitać. Siedziałam bez ruchu i patrzyłam na niego.

- Jesteśmy wszystkie trochę zmęczone - wyjaśniła Ruth i przeszła mnie wzrokiem, a zaraz potem złapała największą walizę, usiłując wrzucić ją na platformę auta. Dawno temu nauczyła się, że najszybszą drogą do zwrócenia uwagi mężczyzn na siebie jest branie się za męskie obowiązki.

Kowboj Taggert natychmiast przestał mi się przyglądać, przy czym wyglądał, jakby usiłował sobie przypomnieć język migowy, i pospieszył z pomocą naszej drogiej Ruth. Osobiście byłam zdumiona, że wie, gdzie jest rączka walizki - uprzednio nie tykała tych przedmiotów.

W tym właśnie momencie do wszystkich nas dotarł dźwięk, który słyszeliśmy tysiące razy na filmach, ale którego nigdy nie chcielibyśmy usłyszeć naprawdę: szelest łusek grzechotnika. Pan Taggert miał w rękach ciężką walizkę, a Ruth stała koło niego tak blisko, że miałam nadzieję, iż używa jakiegoś środka antykoncepcyjnego. Sześć cali od jej lewej stopy leżał zwinięty grzechotnik. Wyglądało, że ma poważne zamiary.

Byłam najdalej od węża i najbliższej drzwi auta, więc pan Taggert odezwał się do mnie.

- Otwórz drzwi. - Mówił spokojnie, cierpliwie. - Pod fotelem kierowcy jest rewolwer. Wyjmij go, obejdz auto i podaj mi go.

W sytuacjach alarmowych potrafię sama szybko myśleć. Nie

należę do ludzi, którzy zamieniają się w stup soli i od razu spostrzegłam, że ten plan ma mnóstwo dziur. Po pierwsze, jak Taggart chce strzelić, skoro ręce ma zajęte siedemdziesięciopięcioletnią walizką Ruth? A po drugie, dużo czasu zajmie mi obejście auta, może więcej, niż wąż zamierzał zostawić Ruth.

Powoli otworzyłam drzwi pikapa. Poza łuskami grzechotnika, które szeleściły strasznie głośno na tym wietrznym polu, tylko ja się poruszałam. Powoli schyliłam się i kiedy wyciągnęłam rewolwer, odetchnęłam z ulgą. Miałam nadzieję, że nie będzie to jeden z tych ciężkich gnatów, do utrzymania których trzeba łapać drwa. To był milutki, ładniutki dziewięciomilimetrowiec i wystarczyło go wziąć w jedną rękę, odbezpieczyć, wymierzyć i wypalić.

Co zrobiłam. Trochę się trzęsłam, więc nie całkiem odstrzeliłam głowę biednemu wężykowi - w gruncie rzeczy reagował tylko na nagrzaną walizkę Ruth - ale na pewno go zabiłam.

Wtedy wszystko wydarzyło się równocześnie. Kowboj cisnął walizkę na ziemię, w sam czas, - by złapać Ruth, która osunęła się w jego wielkie, silne ramiona, podczas gdy Winnie i Maggie łkając padły sobie w objęcia.

Mnie pozostawiono samą sobie. Stałam z dymiącym rewolwerem w dłoni. Popatrzyłam na Ruth estetycznie udrapowaną na opalonych ramionach kowboja i najlepiej, jak umiałam, odegrałam Matta Dillona. Stanęłam na szeroko rozstawionych nogach, dmuchnęłam w łufę, a potem schowałam rewolwer do kieszeni spodnicy.

- Dobra, Tex - wycedziłam. - Kolejny lokator na Boot Hill.

Niepotrzebne było magisterium z psychologii, by ocenić, że kowboj jest zły. Prawdę mówiąc, patrzył tak, jakby chciał złapać mnie za szyję i zacisnąć dłoń, ale ponieważ było w nich pełno omdlałego ciała Ruth, mógł tylko przesywać mnie złowieszczym wzrokiem. Pomimo że był obładowany, to kiedy zaczął ku mnie iść, usunęłam się na bok. Zapewne w Kolorado nie pozwalano na publiczne morderstwa, ale nie chciałam kusić losu.

Ale on tylko złożył swój cenny ładunek na siedzeniu pikapa - Ruth nadal grała omdlałą, jednak po drzeniu rzęs wiedziałam, że

jest równie świadoma jak ja - i kazał chudej admiratorce sięść obok. Pewnie chętnie zatrzasnęłyby z hukiem drzwi, lecz hałas mógłby zmącić sen Śpiącej Królowny.

Winnie? - Maggie? - i ja stałyśmy z boku, a on wrzucał walizki - po cztery naraz - na platformę.

- Wsiadaj - powiedział do drugiej z wielbicielek i posłuchała go z szybkością, jeśli nie z wdziękiem, gazeli.

Następnie zwrócił się do mnie. Twarz mu gorzała i w tamtej chwili zdecydowałam, że nie wsiadę do auta i nie pozwolę się wywieźć Bóg wie gdzie.

- Słuchaj - powiedziałam wycofując się - ja tylko zastrzeliłam węża. Przepraszam, jeśli uraziłam twoją męską wrażliwość, ale...

- Może to nie był właściwy sposób przemawiania do kowboja. Musi być jakaś przyczyna, dla której wielcy, przystojni mężczyźni są półgłówkami, a małe paskudy są łebskie. Jest tak, jakby Bóg chciał sprawiedliwości, jakby mówił: „Dostajesz urodę, ale nie mózg, a ty tam dostajesz mózg, ale nie urodę.” Więc mówienie do tego superstworzenia o niuansach psychologii może nie było najlepszą rzeczą. Zastanawiało mnie, czy posiadał umiejętność czytania i pisania.

- Kiedy rozkazuję, masz mnie słuchać. Zrozumiano?

Nagle i gwałtownie opuściłam Kolorado. Przestałam być nagradzaną autorką; byłam małą dziewczynką, której ojciec kontrolował wszystko. Tak szybko jak zostałam przetransportowana w przeszłość, powróciłam do teraźniejszości, ale wściekłość małej dziewczynki mnie nie opuściła.

- Prędzej mnie szlag trafi - powiedziałam i zaczęłam obchodzić pikapa.

Kiedy mnie złapał, dostałam szału. Nikt nie tknął mnie od czasu ucieczki z domu i nikt nie miał prawa dotykać mnie teraz. Kopałam, gryzłam, walczyłam i drapałam, chcąc się uwolnić. Nie wiem, jak długo trwało, nim wróciłam do rzeczywistości i uświadomiłam sobie, że trzyma mnie za ramiona i trzęsie jak osiką. Ruth i jej chuda admiratorka gapiły się na mnie przez tylne okienko,

a wielbicielka siedząca na platformie kuliła się za walizkami Ruth, jakby w obawie, że mogę zaatakować ją następną.

- W porządku? - zapytał kowboj.

Na cudownym policzku miał trzy krwawe zadrapania, które ja mu zrobiłam. Musiałam opuścić wzrok.

- Chcę do domu - zdołałam wyszeptać.

Do mojego ślicznego mieszkania, z dala od Ruth i jej kowboja. Z dala od mojego zażenowania.

- Dobra - powiedział. Przemawiał do mnie tonem, jakiego używa się wobec niebezpiecznych wariatów. - Po powrocie na ranczo załatwię ci transport, ale tutaj to niemożliwe. Rozumiesz mnie?

Wściekł mnie ten pełen wyższości ton. Popatrzyłam na niego. Przestał mi się wydawać taki przystojny jak na początku.

- Nie, nie rozumiem cię. Może powinienes mówić trochę wolniej, a może powinienes wezwać facetów w białych ubrankach.

Nie wydało mu się to zabawne, bo złapał mnie za rękę i wrzucił na auto z równą finezją, z jaką ładował walizki. Byłam w połowie na zewnątrz, ale wcisnął gaz i rzuciło mnie w tył. Na szczęście, wylądowałam nie zraniona na bardzo miękkim ramieniu Winnie- - Maggie. Nie zawracałam sobie głowy pytaniem, jak ma na imię.

Byłam międzynarodowej sławy pisarką siedzącą na platformie brudnego pikapa. Ciężka walizka zaczęła przygniatać mi łydkę i czworo ludzi myślało, że zwariowałam. Czy Mary Higgins Clark przeszła coś takiego?

Co ci się stało? - spytał Sandy podnosząc wzrok znad kuchennego stołu i widząc na twarzy Kane'a wściekłość równie wyraźnie jak trzy krwawe zadrapania.

Nie odpowiedział, dopóki nie nalał sobie solidnej miarki whiskey MacTravit i nie pochłonał jej jednym łykiem.

- Za głupotę zostałem trzykrotnie oznakowany - odparł, napełnił po raz wtóry szklaneczkę i odwrócił się do starszego mężczyzny.
- Czy napisano jakieś książki na temat stosunków między matkami i synami?

Sandy uśmiechnął się. Twarz pokryło mu tysiące zmarszczek, skutek długiego przebywania w słońcu na dużych wysokościach.

- Parę setek, może tysiąc - rzekł. - Co Pat zrobiła tym razem?
- Namówiła mnie na zabranie bandy idiotek w góry. Doprowadziła do tego, że poczułem się winny z powodu dzieci i...
- Przerwał i popił whiskey. - Poznałeś te baby?
- Nie. Może mi o nich opowiesz.

Kane z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Jedna wsadziła mi rękę za koszulę i obmacała, druga wypytała o zaparcia, a następna...

Sandy zmarszczył brwi, gdy Kane znowu nalał sobie kolejkę, bo wiedział, że nie ma zbyt mocnej głowy.

- Ta mała mnie nie zastrzeliła, a potem dostała szału. Jeśli nie zamorduje nas we śnie, to na pewno spłoszy konie.

- A co z czwartą?

Kane uśmiechnął się.

- No, czwarta to Ruth.

Sandy musiał się odwrócić, aby Kane nie dostrzegł rozbawienia na jego twarzy. Pat wyraźnie dała do zrozumienia, że zmuszając owdowiałego syna do wyprawy z tymi kobietami, chodziło jej o zainicjowanie romansu i sądząc po idiotycznym wyrazie twarzy Kane'a, plan się powiódł.

- Muszę do nich wracać. Nie mam pojęcia, z czym wyskoczy ta wariatka. W głównym budynku są strzelby. Może zechce odgrywać Annie Oakley i sprawdzi, czy zestrzeli wsuwki do włosów z głów tamtych kobiet.

- Jest aż tak źle? - Sandy zmarszczył czoło.

- Nawet gorzej. - Kane osuszył szklaneczkę. - Porozum się z tatą przez radio. Niech przyleci helikopter i zabierze ją. Nie chcę jej tu widzieć, jest niebezpieczna.

- Frank wziął helikopter do stanu Waszyngton. Ma jakieś sprawy w kopalniach Tynana.

- Niech to diabli! - zaklął pod nosem Kane. - Słuchaj, przekaż ojcu meldunek. Niech zorganizuje transport. W ostateczności niech podeśle ciężarówkę do Eternity. Jak będę musiał spędzić tu całe dwa tygodnie z tą babą, to jeszcze ją zamorduję.

- Lepiej się z tym wstrzymaj. Twojej matce może nie spodobać się martwy żółtodziób.

- To wcale nie jest śmieszne. Nie poznałeś jej. - Kane wziął głęboki oddech. - Zrobię, co mogę, żeby wytrzymać do jej wyjazdu. W porządku? Porozumiesz się zaraz z ojcem przez radio?

Kane wyszedł z drewnianej chaty, a Sandy kiwając posłusznie głową podszedł do radia nadać meldunek.

Gdy Kane wkroczył do wielkiego, piętrowego budynku, zobaczył małą pisarkę kryminałów i zaraz pomyślał, że ciekawe, czy wszystkie jej utwory opowiadają o ludziach, którzy nastawali na jej

życie. Jeśli tak, rozumiał, dlaczego to robili. Choć obiecał Sandy'emu, że z nią wytrzyma, to gdy zobaczył ją samą, spróbował wysliznąć się po cichutku z pokoju.

- Mam cię! - powiedziała, najwyraźniej szalenie rozbawiona tym, że przyłapała go na próbie ucieczki.

Kane odwrócił się i starał się przywołać uśmiech na twarz. Była jego gościem, czy może dokładniej gościem sąsiada, i wypadało zachować się wobec niej jak na dobrego gospodarza przystało. Parter głównego wzniesionego z bali budynku to było jedno pomieszczenie, natomiast sypialnie mieściły się na piętrze. Siedziała przy barze i wyglądała na rozbawioną. Nie umiałyby wyjaśnić, czemu budziła w nim tak wielką niechęć, ale to uczucie przepełniało go bez reszty. Była całkiem ładna i gdyby zobaczył ją na ulicy, może obejrzałby się za nią, ale robiła wrażenie tak zadowolonej z siebie, tak przekonanej o własnej wartości, że w głowie miał tylko jedno pragnienie - uciec od niej jak najdalej.

Zmusił się do uśmiechu i wszedł za bar.

- Masz ochotę się czegoś napić? Musisz być spragniona po długim locie.

- Nie boisz się, że mogę narozrabiać, kiedy się upiję?

Ta myśl nurtowała go rzeczywiście i rozszyfrowany poczuł gorąco na twarzy.

- Nie łam się, Tex - wycodziła przesadnym akcentem południowca i oparła nogi na sąsiednim stołku barowym. - Mam mocny łeb, nie gorszy niż inni.

Zacisnęła rękę na butelce whiskey. Ta kobieta nie tylko go drażniła. Wszystko, co mówiła, robiła, sugerowała, napomykała, doprowadzało go do wściekłości. Nie zwracając sobie głowy pytaniem, na co ma ochotę, zmieszał słaby dżin z tonikiem, nie dodał lodu i podając jej szklankę nie zdobył się na uśmiech.

Popatrzyła na drinka i po raz pierwszy ujrzał na jej twarzy ludzki wyraz. Przy pierwszym spotkaniu przyglądała mu się jak artyście cyrkowemu i zastanawiał się, czy nie jest opóźniona w rozwoju. Potem zastrzeliła węża, po czym wyła i drapała pazurami. Teraz

wyglądała na trochę zasmuconą, ale ten wyraz twarzy znikł i pojawiła się drwina.

- Twoje zdrowie, kowboju - powiedziała.

Ujął ją za przegub i nie pozwolił wychylić toastu.

- Nie nazywam się kowboj.

Odstawiła szklanekę i przyjrzała mu się marszcząc brwi.

- Co cię tak bardzo dotknęło dziś po południu? To, że nie zrobiłam tego, co mi kazałeś, czy to, że nie dałam ci odegrać roli bohatera i samemu uratować panny Ruth?

Bardzo powoli wyszedł zza baru i stanął przed nią. Nie spuszczać z niej oczu wsunął stopę między jej nogi i oparł but o stołek. Kiedy zobaczyła dziurę po kuli w czubku buta - gdyby przeszła o ułamek cała w prawo, oderwałyby palce u nogi - zdobyła się na tę uprzejmość i okazała lekki wstrząs. Ale zmieszanie nie na długo zagościło na jej twarzyczce. Wpakowała palec w dziurę, dotknęła palca - kula oderwała również strzęp skarpetki - i powiedziała:

- Ta mała świnka poszła na targ, ta mała świnka została w domu, ta mała świnka...

Kane nigdy, nawet w dzieciństwie, nie skrzywdził dziewczyny. Jego starszy brat Frank wypalił mu raz kazanie, gdy w pierwszej klasie wrócił do domu z podbitymi oczami, o co postarała się Cindy Miller. Kane nie oddał jej. Stał i pozwolił się okładać, aż przyszła nauczycielka i odciągnęła Cindy. Nauczycielka oświadczyła później, że nie wie, czy Kane jest bohaterem czy głupcem. Frank nie miał tak ambiwalentnych uczuć: nazwał Kane'a bałwanem.

Ale w tej chwili Kane zapragnął zrobić krzywdę tej dziewczynie. Chciał ją udusić i zanim uświadomił sobie, co czyni, pochylił się nad nią z wyciągniętymi rękami.

- Tu jesteście! - powiedziała Ruth, spływając po schodach w ślicznej sukience z czerwonego jedwabiu.

Kane był pewien, że przeżył koszmarny sen na jawie, z którego nagle został wytracony. Wyprostował się i zobaczył małą pisarkę kryminałów zmykającą ze stołka. Podbiegła do Ruth, jakby szukała

u niej obrony. Kane musiał się odwrócić, ogarnięty zgrozą na myśl o tym, co zamierzał uczynić.

- Jak to dobrze, że jesteś! - powiedziała Cale do Ruth.
- Mieliśmy najnudniejszą w świecie rozmowę o żeberkach wieprzowych. Chcesz się czegoś napić? Kowboj Taggert robi znakomity, ciepły i słaby dżin z tonikiem.

- Zrobię to, na co masz ochotę - oświadczył Kane, powstrzymując galopadę serca w piersiach i nie patrząc na tę potworną babę stojącą blisko Ruth.

- Kieliszczyk schłodzonego białego wina - poprosiła z wahaniem Ruth i Kane uśmiechnął się do niej.

- Proszę, papużki nierozłączki - zamruczała Cale, ale Kane bohatercko nie zwrócił na to uwagi. Może ignorowana uświadomi sobie, że jest tu niepożądana, i zostawi ich samych.

Podając Ruth kieliszek spojrzął w jej ciemne oczy i pomyślał, jak pięknie wyglądałyby te czarne włosy rozrzucone na poduszce.

- Rety, zdaje mi się, że wam zawadzam - powiedziała Cale.

Kane musiał się odwrócić. Ruth nie powinna oglądać wściekłości na jego twarzy.

Opanował się wreszcie i podszedł do okna, licząc na to, że Ruth pójdzie w jego ślady, a gdy się tak stało, pomyślał, jak naturalne byłoby, gdyby objął ją w pasie. Była tak podobna do jego żony, że jego ramię dopasowałoby się idealnie do ciała Ruth, ale obecność tej blondynki nie pozwalała mu wprowadzić chęci w czyn. Nie mógł być sobą.

Zobaczył Sandy'ego. Prowadził do domu dwa osiodłane konie.

- Kto to? - spytała Ruth.

- Sandy. Faktycznie nazywa się J. Sanderson - Kane uśmiechnął się do niej, zauważając, jak wieczorne światło kładzie się jej na włosach. - Nikt nie wie, od czego jest to „J.”, więc zawsze mówiliśmy do niego Sandy. To mój daleki krewny.

Cale zerknęła zza ramienia Ruth na Kane'a.

- Który z nich jest twoim krewnym? Ten z brązowym siodłem czy ten z czarnym?

Kane nie wiedząc, co czyni, rzucił się na nią. Przeskoczył przez oparcie fotela, a ona tymczasem wydała jęk przestraszenia, wspięła się na kanapę, przeskoczyła oparcie i pomknęła do drzwi. Kane dopadł ją, kiedy wpadła na Sandy'ego wchodzącego do pokoju. Jednym skokiem schroniła się za starcem, oparła ręce na jego biodrach i użyła go jako tarczy.

Kane był zbyt zagniewany, by ogarnąć sytuację. Jego jedynym celem było zabić tę kobietę. Sięgnął za Sandy'ego, aby ją złapać, ale umknęła mu, więc odepchnął starca na bok.

- Kane! - huknął mu do ucha Sandy. Był to głos człowieka, który zmieniał Kane'owi pieluchy.

Znowu poczuł się tak, jakby budził się z koszmaru. Przez chwilę stał tylko mrugając oczami, potem dotarło do niego, co zamierzał zrobić. Ta kobieta, na wpół ukryta za Sandym, wyglądała jak szkolna skarżypyta, która właśnie wykonała swoją dzienną normę złości i była teraz z tego dumna. Sandy okazywał niesmak i był wstrząśnięty zachowaniem Kane'a, który z kolei nie śmiał spojrzeć na Ruth. Zażenowanie sprawiło go w taki paraliż, że wciąż stał nieruchomo.

Sandy posłał mu jeszcze jedno karzące spojrzenie, objął tę kobietę ramieniem i wyprowadził z pokoju. Wychodząc kręciła triumfalnie krągłym tyłeczkiem.

Sandy musiał przyznać w duchu, że zachowanie Kane'a było dla niego szokujące. Znał chłopaka od kołyski i zarówno Kane, jak i jego brat bliźniak byli miłymi, słodkimi dzieciakami, zawsze gotowymi udzielić pomocy temu, kto jej potrzebował. Zawsze spali w stajni z chorymi końmi i płakali, kiedy wąż zabił psa. Zawsze byli skorzy do śmiechu, szczęśliwi i chętnie dzielili się swoim szczęściem z innymi.

Więc gdy Sandy wszedł do domu i zobaczył Kane'a nastającego na życie uroczej, drobniutkiej istotki płci pięknej, z początku nie wiedział, jak zareagować. Najbardziej zdumiał go sam fakt, że Kane w ogóle zdobył się na jakąś reakcję. Od śmierci żony, co zdarzyło się pięć lat temu, zamknął się w sobie. Poza synami nikt nie potrafił go rozżłościć czy zasmucić; wyglądało na to, że nic go nie zachwyca, nie budzi w nim zawodu, nie nudzi. Po prawdzie, nic na świecie nie było w stanie go poruszyć.

Gdy Pat wyznała Sandy'emu, co chce osiągnąć dzięki tym czterem kobietom i że nawet wybrała jedną z nich na przyszłą synową, nie śmiał się. Miał nadzieję, że ktoś lub coś przywróci Kane'a do życia i jeśli mogła tego dokonać jakaś wdowa, był gotów poprzeć każdy podstęp wiodący do tego celu.

Ale gdy Sandy wszedł do domu, Kane nie czarował żadnej pięknej wdowy; biegał po meblach za drobną jak łasiczka dziewczyną. Starzec musiał przyznać w duchu, że był tym tyleż zaintrygowany co oszołomiony.

- To ty zastrzeliłaś węża? - zapytał młodą kobietę, idącą w milczeniu obok niego. Była śliczną niebieskooką blondynką i gdyby nie to, że przed chwilą widział ją w akcji, uznaliby, że musi być bardzo nieśmiała i milcząca.

- I dostałam fioła - odburknęła. Nieznacznie usztywniła przy tym ramiona, jakby szykowała się do obrony.

- Masz ochotę powiedzieć mi, co się wydarzyło?

- Nie za bardzo - odparła.

Sandy'emu bardzo zależało na relacji drugiej strony o zaszłych wydarzeniach.

- Kane twierdzi, że o mały włos go nie zabiłaś, a potem wpadłaś w histerię. Często histeryzujesz i używasz broni?

Siląc się na poważny wyraz twarzy patrzył, jak blondyneczka daje się złapać na tę przynętę. Na śliczną twarzyczkę kolejno wystąpiło kilka odcieni czerwieni - od różu do purpury. Za rumieńcem sypnęły się słowa.

- Uratowałam życie tej niewdzięcznej babie! - wybuchnęła i opowiedziała Sandy'emu o tym, że Kane trzymał walizkę, więc gdyby ona nie zdecydowała się na szybkie działanie, wąż mógłby ukąsić Ruth.

Sandy słuchał i uśmiech nikł mu z twarzy. Kane odmalował mu wizerunek kobiety pozbawionej piątej klepki, a tymczasem zachowała się rozsądnie i naprawdę wyglądało na to, że uratowała Ruth życie.

- A co było dalej? - spytał łagodnie. - Przestraszyłaś się i uległaś nadmiernemu podnieceniu?

Byłby w stanie to zrozumieć, lecz ona uciekła od niego wzrokiem, znów zrobiła się czerwona, ale tym razem raczej z zakłopotania niż z wściekłości. Widział, jak walczy ze sobą, nie wiedząc, czy wyznać mu prawdę, więc stał i czekał cierpliwie, podczas gdy ona podejmowała decyzję.

Westchnęła rozzdzierająco i powiedziała:

- No, hm... ojciec często wściekał się na mnie i... sprawiał mi lania... i kiedy twój kowboj mnie dotknął, to odbyłam jakby małą podróż w czasie.

Po tych słowach zastygła, spozierając wojowniczo, jakby prowokując go do jakiegoś komentarza. Wyglądała trochę jak zabijaka z małego miasteczka, który właśnie okazał się wcale nie taki twardy.

Sandy pokiwał ze zrozumieniem głową, ale nie skomentował tego, co usłyszał.

- Znasz się coś na koniach?

- Wiem, gdzie ma łeb, a gdzie nogi, ale to cała moja wiedza.

Wyszczerzył do niej zęby.

- Może byś tak pomogła mi je rozsiodłać i opowiedziała, gdzie nauczyłaś się tak obchodzić z bronią?

- Chyba nie dość się nauczyłam, bo o mały włos nie odstrzeliłam kowbojowi nogi.

Sandy szedł nie odwracając głowy, ale słyszał skruczę w jej głosie, gdy nazwała Kane'a „kowbojem”.

- Przeprosiłaś go?

- Ha! Prędzej umrę.

Przyjrzał się jej zagadkowo spod runda kapelusza. Uniosła głowę do góry. Zwinęła dłonie w pięści, usta zacisnęła w wąską linię.

- Ty jesteś fryzjerka, wdowa czy ta, co to ma ten śmieszny sklep? - Zanim zdążyła odpowiedzieć, zabłyśły mu oczy. - Pisziesz kryminały!

- Tak - odparła nadal zagniewana, ale popatrzyła na niego i uśmiechnęła się. - Moja następna książka będzie nosiła tytuł: *Śmierć kowboja*. Jak myślisz, jaki rodzaj śmierci byłby odpowiedni? Zaplątanie się we własne lasso i uduszenie? Może grzechotnik w zrolowanym kocu? - Uśmiechnęła się szerzej. - Może zakażenie krwi od brudnej kuli, która oderwała mu wszystkie palce u nóg!

Sandy krztusząc się ze śmiechu otworzył przed nią drzwi stajni.

- Właż i opowiedz mi resztę tej historii. Lubię dobre opowiadki.

- To szybko mnie polubisz - rzekła rozradowana - bo znam ich mnóstwo. - Zmarszczyła brwi i wymruczała: - Byłoby wspaniale, gdyby był tu ktoś taki jak ja.

Wbrew pozorom wcale nie chciałam, żeby kowboj Taggart mnie znienawidził. Zawsze marzyłam, żeby mnie lubiano. Zawsze chciałam wejść do pokoju, usłyszeć westchnienie ulgi towarzystwa i słowa: Jest Cale. No, to wreszcie zacznie się zabawa." Oczywiście, nigdy do tego nie doszło. Mole książkowe rzadko są zapraszane na przyjęcia, a gdy im się to przytrafia, mają zwyczaj siedzieć w kącie i obserwować.

Pomogłam w tajni temu cudownemu, kochanemu staruszkowi, Sandy'emu, i udawałam, że nic mnie nie dręczy. Poprzysięgłam sobie wytrwać w tej postawie do końca wyprawy. Za dziesięć lat ten kowboj wspomni mnie i powie: „Ta mała pisarka kryminałów była całkiem do rzeczy.”

Spisywałam się wspaniale przez całe dwadzieścia cztery godziny. Do obiadu zasiedliśmy wszyscy przy okrągłym stole - i milczałam jak głaz. Nie pisnęłam słówka, kiedy kowboj pochylał się nad Ruth i po raz setny dolewał jej wina do kieliszka. Nie pisnęłam słówka, kiedy chuda zaczęła gadać o magicznych przyrządach. Nawet się nie zaśmiałam, kiedy gruba wylała kowbojowi wino na podolek i wzięła się za wycieranie czerwonej plamy na jego kroczu. Grzecznie powiedziałam wszystkim dobranoc i poszłam do pokoju, planując zarys następnej książki.

Ale moją najsilniejszą i najlepszą cechą charakteru jest umiejętność koncentracji, co znane jest również jako zdolność do popadania w obsesję, i to właśnie przytrafiło mi się tej nocy.

Dlaczego mężczyźni nie potrafią przejrzeć takich kobiet jak Ruth? Dlaczego są tacy tępi, jeśli chodzi o kobiety? Długie nogi, bujna pierś, akry włosów na głowie i kobieta może mieć każdego mężczyznę, jakiego zapragnie.

Dreńczyło mnie, że czułam pociąg - silny pociąg - do jakiegoś wielkiego durnego kowboja, gdy tymczasem on patrzył na mnie tak, jakby chciał mnie potraktować trutką na szczury.

Byłam grzeczna przy śniadaniu, podczas gdy Ruth i ten półgłówek robili do siebie słodkie oczy i dopatrywali się drugiego dna w zdaniach typu: „Podaj mi, proszę, miód.” Nic w życiu nie jest tak nudne jak towarzyszenie parze kochanków. Każde słowo jest dla nich źródłem radością każdy gest jednej strony to wcielenie piękna w oczach drugiej. Świat zaczyna się i kończy na nich.

Odgryzłam kawałek grzanki i obserwowałam, jak kowboj patrzy na Ruth - był człowiekiem straconym. Co do Ruth, to po jej oczach można by sądzić, że uczestniczy w tej grze całym sercem. Od czasu do czasu zerkała triumfalnie na duet Maggie-Winnie, jakby chciała powiedzieć: „Popatrzcie, na co mnie stać.” Prawdopodobnie szykowała się do wielkiej, łzawej sceny finałowej, podczas której nastąpi rozdzierające pożegnanie. Ale biedny, tumanowaty Taggart wyglądał tak, jakby chciał zawiązać fartuch na idealnie utrzymanej kibici Ruth i postawić ją za kuchennym blatem. Przez moment zakosztowałam wielkiej przyjemności wyobrażając sobie Ruth w kuchni: zniszczone linoleum na podłodze, zasłonki z farbowanej przędzy, smród smażonej cebuli, gorąco tak, że można smażyć befsztyki na kuchennym blacie, trójka wyjących dzieciaków uczeplona jej napuchniętych, czerwonych, nie ogolonych nóg.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam Sandy'ego, który uśmiechał się do mnie, jakby dokładnie wiedział, o czym myślę, więc mrugnęłam i pozdrowiłam go, dla żartu unosząc szklanekę z sokiem pomarańczowym.

Zanim minęło popołudnie, zachowywałam się tak grzecznie, że chyba nabrałam nadmiernej pewności siebie, bo popsułam wszystko.

Wsiadliśmy na konie i ruszyliśmy leśnym szlakiem. Poprzednio siedziałam na koniu tylko dwa razy w życiu, ale jak się nad tym dobrze zastanowić, to jeździectwo wcale nie wymaga tak wielkiego wysiłku umysłowego. Nie mówię tu o ujeżdżaniu ani skokach przez przeszkody, do czego potrzeba wielu lat praktyki i treningu, ale siedzenie na dobrze wykarmionym, zadowolonym z życia zwierzęciu, które zna szlak, nie wymaga żadnych umiejętności.

Ale Ruth i duet nie patrzyły na to w ten sposób. Znając pochodzenie Ruth, spodziewałam się, że jest znakomitą amazonką, tymczasem, prawdę mówiąc, bardzo się bała. Śmiertelnie się bała i brzydziła wielkich, szerokich chrapów, owłosionych warg i tęgich zadów. Kiedy wytrzeszczając oczy ze strachu wdrapywałą się na siodło, prawie ją lubiłam. Naprawdę musiało jej zależeć na pracy, skoro wspięła się na zwierzę budzące w niej takie przerażenie.

Późnym popołudniem dałam kolejny popis. Zsiadaliśmy wszystkie z koni obolałe, zmęczone i przeważnie nie odzywając się słowem. Ruth jechała za Taggertem i jedyne rozmowy na szlaku toczyły się między tą dwójką. Chuda część duetu usiłowała wciągnąć mnie w rozmowę na temat wegetariańskich potraw, ale gdy powiedziałam, że jem wyłącznie fury mięsa, zamknęła się i przestała się do mnie odzywać. Za sobą miałam Sandy'ego, więc słyszałam tylko milczenie lasu i było bosko.

Ale kiedy zsiadaliśmy z koni i większość grupy powędrowała do lasu skorzystać z toalet, zerknęłam na Ruth i zobaczyłam w jej oczach dziwny błysk. Poprzednio masowała sobie krzyż i jeśli była tylko w połowie tak obolała jak ja, to na pewno cierpiała. Nie wiem, o czym myślała, ale pewnie nie myślała wcale. Cierpiała ból, a przyczyną tego bólu było spokojnie żujące zwierzę stojące przed nią.

Rękami trzęsącymi się z wyczerpania zapaliła papierosa. A potem z wyrazem twarzy złośliwego bachora zgasiła tego papierosa na gładkiej szyi niczego nie podejrzewającego konia.

Wtedy wszystko nastąpiło jednocześnie. Koń zarżał, wszedł na nią bokiem, przewrócił i zaczął tratować. Mogłam tylko podbiec,

starając się wepchnąć między zwierzę i Ruth, ale było rozjuszone i czuło ból; część grzywy zajęła się ogniem i dymiała. Najlepiej jak umiałam złapałam wodze jedną ręką, a drugą tłukłam po płonących końskich włosach, usiłując mu powiedzieć, że jest bezpieczny i nikt mu już nie zrobi krzywdy. Podczas tego zamieszania Ruth, prawdziwa żmija, wyśliznęła się i zostawiła mnie samą z koniem.

Ogromny kowboj przybiegł depcząc poszycie jak yeti. Zmierzał wprost do mnie i miał twarz wykrzywioną wściekłością. O co mu chodzi? - pomyślałam. Czym tym razem zasłużyłam sobie na jego gniew?

Ruth zgodnie z ustaloną przez siebie strategią rzuciła się kowbojowi w silne, opiekuńcze ramiona, łkając obficie, ale nie niszcząc sobie przy tym makijażu, i błagając o ratunek. Taggart trzymał ją w uścisku, ale spoglądał przy tym złowieszczo na mnie. Uspokajałam biednego oparzonego konika. Zastanawiałam się, jak zareagowałyby Ruth, gdybym wyjawiała kowbojowi, co zrobiła zwierzęciu.

- Powinnaś mnie zawołać - wydusił Taggart przez zęby.

W ciągu sekundy tysiąc zdań przemknęło mi przez głowę. Mogłam go zapoznać z prawdą o jego ukochanej; mogłam mu wykazać, że gdybym go zawołała i czekała na jego przybycie, to na środku ślicznej buziuchny Ruth mógłby teraz figurować odcisk kopyta. Ale nie broniłam się. Powiedziałam tylko:

- Jesteś naprawdę szurnięty, wiesz? Najnormalniej, najzwyczajniej szurnięty.

Wypuściłam wodze i odeszłam w las.

Czy jest na świecie gniew bardziej wrzący, bardziej przenikający do głębi niż gniew wywołany niesłusznym oskarżeniem? Czułam się jak węgiel z płonącego przez cały dzień ogniska. Najmniejsza zachęta i wybuchnęłabym jak wielki pożar lasu. Stałam między drzewami nie widząc niczego, z zaciśniętymi pięściami, czując się jak męczennica. To było nie *fair!* To było naprawdę absolutnie nie *fair*.

Mój gniew nigdy nie trwa długo i tym razem też tak było. Po

kilku minutach zdusiłam go w sobie i pękł jak mydlana bańka. Nie ruszałam się z miejsca, drżąc z napięcia i wyczerpania, i ku mojemu obrzydzeniu łyzy napłynęły mi do oczu.

Usłyszałam kroki za plecami. Otarłam łyzy wierzchem dłoni i zobaczyłam Sandy'ego. Był wyraźnie przejęty.

- Nie wiem, co się dzieje z Kane'em - rzekł. - Zwykle nie jest taki. Zwykle...

Zasada numer jeden, której przestrzegałam w domu mojego ojca: nigdy nie daj poznać po sobie, że cię coś dotknęło. Jeśli odkryją twój ból, zadadzą ci większy.

Uśmiechnęłam się i odezwałam najpogodniej, jak potrafiłam.

- To moja wina. Zawsze wchodzę mężczyznom na odcisk. Gdybym piszczała ze strachu i ogarnięta zgrozą chowała twarz w dłoniach, pewnie karmiłby mnie teraz koniakiem i pasztetem z gęsich wątróbek.

Sandy zachichotał.

- Pewnie tak. - Chwilę milczał, a potem spytał: - Jaka jest Ruth?

Mogłam tylko wyrzucić oczami. Czy opowiedzieć mu o przypaleniu papierosem?

- Kane... - Sandy zawahał się, - Zdaje mi się, że szuka żony.

Wcześniejszy obraz Ruth przy kuchni wrócił do mnie i bardzo poprawił mu humor. Ale nie zamierzałam oszukiwać tego człowieka. Okazał mi serce i nie zasługiwał na rewanżowanie się kłamstwami.

- I spodziewa się znaleźć ją w Ruth? Ona lubi podboje, ale kiedy osiągnie swój cel, szuka następnego. - Pomyślałam o kowboju, który zwymyślał mnie za uratowanie życia Ruth nie raz, lecz dwa. - Myślę, że zasługują na siebie. Mam nadzieję, że złamię mu serce.

Po chwili milczenia Sandy powiedział:

- A ty jesteś zamężna?

Wiem, że myślał o Kane, którego traktował jak własnego syna. Dlaczego niektórzy ludzie są otaczani miłością bez względu na to, co zrobią, a inni nie? Udałam, że nie zrozumiałam pytania.

- Czy to propozycja?

Kiedy się odezwał, był absolutnie poważny.

- Gdybym był dziesięć lat młodszy, starałbym się o ciebie tak zawzięcie, że w końcu oddałabyś mi rękę, byłbym tylko się odczepił.

Roześmiałam się z lekkim przymusem, ale nie mogę zaprzeczyć, że poczułam się mile połączona.

- Nie chciałbyś się ze mną ożenić - powiedziałam szczerze.
- Jestem zbyt zaradna. Mężczyźni lubią kobiety bezradne, a przynajmniej takie jak Ruth, która umie udawać bezradność. A ja jestem nieznośnie zaradna i zawsze zapominam, że trzeba to ukryć.

Odwróciłam się i ruszyłam przed siebie. Nie chciałam z nikim rozmawiać. Biorąc pod uwagę mój stan ducha, nie wiadomo było, co zaraz wypalę.

- Wracaj szybko! - zawołał za mną Sandy. - Mamy na kolację ozór bizona.

- Mniamm, moje ulubione danie - odparłam nie zwalniając kroku.

Cale wyciągnęła się na trawie w ulubionej postawie pisarzy, przy której ciało ma pełne oparcie, co pozwala umysłowi na swobodną pracę i tworzenie. Komponowała opowieść; zabójcą był w niej kowboj tak przystojny, że nikt go nie podejrzewał. Wtem usłyszała nadchodzących ludzi.

Szkoda, pomyślała, nie chcąc się ruszać i przerwać fantazjowania, w którym była bez reszty pogrążona. Są ludzie, którzy nie cierpią pisania, nienawidzą wyszukiwania pomysłów, a są i tacy, którzy potrafią w nieskończoność oddawać się tworzeniu. Cale słysząc kroki pomyślała, że jeśli zachowa się bardzo cicho, to ktokolwiek się zbliży, zostawi ją w spokoju.

Podniosła głowę i zobaczyła Kane'a biorącego w ramiona Ruth i całującego ją z niewiarygodną delikatnością, jakby była czymś kruchym i cennym. Cale wiedziała, że powinna odejść; poruszyła się z tym zamiarem, lecz Kane odsunął się od Ruth.

- Dobrze się czujesz? - spytał. - Koń cię nie zranił?

Cale z wielkim zainteresowaniem wsparła głowę na ręce i oczekiwała odpowiedzi. Uznała, że to nie podpatrywanie, tylko zbieranie materiału.

- Czuję się świetnie, Kane - odparła zapytana delikatnie trzepocząc rzęsami. - Nie masz pojęcia, jaka byłam wystraszona przed wyruszeniem na ten rajd. Tak się bałam. Wszystkiego - wielkich przestrzeni, zwierząt, przewodników. Myślałam, że

będziesz agresywny. - Roześmiała się uwodzicielsko. - Dręczyłam się tym, że każesz nam... podkuwać konie albo coś w tym rodzaju.

Więc nie zamierzała mu powiedzieć o przypaleniu konia. Właściwie Cale wcale się tego nie spodziewała. Ruth przerażało tylko jedno - to, że mężczyźni nie będą jej adorować. Oto problem filozoficzny, pomyślała Cale: czy Ruth Edwards istnieje, jeśli nikt na nią nie patrzy?

- Tu, na zachodzie, mężczyźni są tacy sami jak gdzie indziej. Chcemy tego samego, co inni mężczyźni - rzekł basem Kane.

Taaak, pomyślała Ruth. Chcą Ruth.

Pogładziła go po ramieniu.

- Nie wydajesz mi się taki sam jak inni mężczyźni.

Nawet ten gość nie powinien dać się nabrać na ten tekst. A może? Zabrzmiało to tak samo jak zaczepka faceta w barze pod adresem siedzącej kobiety: „Ale z ciebie ładna dziewczyna” itd. Kobiety już nie dawały się na to złapać, lecz czy mężczyzna nie nabierze się na wysłużony tekścik Ruth?

- Wolałbym być uważany za takiego mężczyznę jak wszyscy

- odpowiedział obejmując ją.

Kolejny raz Cale przeceniła samca w ludzkiej skórze. Oto pytanie, pomyślała. Jaka jest różnica między ogierem podczas rui a podnieconym mężczyzną? Odpowiedź: żadna. Obaj są ślepi, głusi i bardzo tępi.

Kiedy Ruth i Kane zaczęli się całować, Cale odchrząknęła głośno. Podsłuchiwanie to jedno, ale podglądanie to co innego.

Kane poczerwieniał, gdy zobaczył Cale, ale ta przez jedną sekundę ujrzała to samo, co Ruth: mężczyznę, który ma na twarzy żądzę, a także pragnienie, namiętność, a może nawet zachłanność. Jeszcze bardziej interesujący był wyraz twarzy Ruth. Jeśli się Cale nie myliła, kochana, drapieżna Ruth bała się kowboja Taggerta. Ledwo Kane się od niej odwrócił, wykręciła się na pięcie i odeszła do obozu.

- Wydaje mi się, że mogę dodać szpiegowanie do twojej listy osiągnięć - powiedział przez zaciśnięte szczęki.

- Byłam tu pierwsza - zaczęła się bronić, ale jego mina sprawiła, że zmieniła ton. - Rozmowa z tobą to strata czasu. Masz wyrobione zdanie na mój temat. - Wstała i chciała odejść, ale próbował ją złapać za rękę. - Nie dotykaj mnie - powiedziała i odsunęła się.

Odezwał się niemal szyderczo:

- Zgadza się. Dotknięcie to jedna z twoich fobii.

- W przeciwieństwie do twoich poglądów na mój temat...

Nieważne - urwała i wróciła do obozu.

Sandy przygotował posiłek z fasoli i hot dogów. Chuda połówka duetu jeździła hot dogiem na talerzu i mruzczała, jaką wstrętną rzeczą są hot dogi, a tymczasem grubaska czesała Ruth, co Kane obserwował z wyraźnym zachwytem. Po kolacji chuda zaczęła opowiadać o kryształach i piramidkach, rozwodząc się z dokuczliwą dokładnością nad tym, jak piramidki podobno pomagają w życiu seksualnym, i wstydliwie sugerując Ruth, że powinna zawiesić sobie coś takiego na gałęzi nad śpiworem. Cale z obrzydzeniem odeszła od ogniska, kierując się do koni.

- Może zdjęłabyś koszulę i pokazała mi bark?

Starła się nie okazać zaskoczenia na słowa Sandy'ego, ale obdarzyła go promiennym uśmiechem. Po chwili jednak jej uśmiech zgasł, bo tuż za Sandym górowała rosła postać Kane'a.

- Co jest z jej barkiem? - spytał.

Sandy odwrócił gwałtownie głowę i warknął:

- Gdybyś myślał głową, a nie tym, co masz w spodniach, to byś widział, że zraniła się, kiedy po raz drugi nadstawiała karku za Ruth.

Ach, słodka sprawiedliwości, pomyślała Cale. Mój rycerz pospieszył mi na ratunek. Czy Sandy zechciałby przenieść się do Nowego Jorku i zamieszkać na poddaszu?

Kane zaczerwienił się i zamruczał, że sam obejrzy bark Cale, ale ta zadarła podbródek do góry, wyprostowała się i pewnym krokiem wróciła do obozu, czując się tak dobrze jak nigdy od przyjazdu do Kolorado.

Kane kręcił się i wiercił w śpiworze, ubijał to coś, co miało służyć za poduszkę, przewracał się na boki tyle razy, że szelesty nylonu płoszyły sowy, i kłął, ile wlezie. Wiedział, że powinien myśleć o Ruth. Na ile potrafił to ocenić, była idealna. Jej urocza powierzchowność kryła słodką, delikatną naturę. Niemal widział ją ze swoimi synami; potrafił wyobrazić ją sobie w ósmym miesiącu ciąży z ich wspólnym dzieckiem.

Ale chociaż próbował myśleć o Ruth - nie potrafił. Zamiast tego widział tylko i słyszał tę nieznośną małą pisarkę. Była jak drzazga, której nie da się wyciągnąć i która jątrzy ranę. Na widok tej małej, przeskakującej przez Ruth i sięgającej po wodze konia, był śmiertelnie przerażony. Jedno poślizgnięcie się i wylądowałyby pod kopytami. Głupotą było mówienie, by na niego poczekała - wiedział o tym, tak jak wiedział, że zrobiła to, co trzeba, ale mimo to drażniła go.

Nie potrafił zrozumieć, czym tak zalazła mu za skórę. Może uśmiezkami i przycinkami. Może patrzeniem na Ruth tak, jakby była jakimś robakiem. A może chodziło o okrągłą linię jej tyłeczka.

Dlaczego był na nią taki zły, kiedy uratowała Ruth? Gdyby zrobiła to każda inna kobieta, byłby szczęśliwy, że potrafiła w lot pomyśleć i zadziałać, ale ta blondynka nie wiedzieć dlaczego doprowadzała go do wściekłości. A jednak, nawet gdy stał i patrzył na nią z wściekłością, pragnął wziąć ją w ramiona i otoczyć opieką.

Otoczyć opieką? Równie dobrze mógłby chcieć otoczyć opieką jeża. A jaki jest jeż, każdy wie: mały, kolczasty i niebezpieczny.

Koło trzeciej nad ranem wysunął się ze śpiwora i lasem poszedł dobrze znaną ścieżką do urwiska nad szlakiem. Jutro rano znajdują się w wymarłym miasteczku Eternity, skąd ciężarówka ojca zabierze pisarkę. Potem czekają go długie wspólne dni z Ruth. Będzie miał czas ją poznać i sam da jej się poznać. Będzie miał czas na...

Otrząsnął się z zamyślenia. Poniżej zobaczył błysk reflektorów. Ktoś jechał starą drogą do Eternity. Ale kto to mógł być o tej porze? Zaledwie postawił sobie to pytanie, znalazł odpowiedź: był jakiś wypadek.

Aż nazbyt dokładnie ożyło w nim wspomnienie nocy, kiedy to wrócił do domu i zastał karetkę pod mieszkaniem w Paryżu, które wynajmował dla siebie, żony i nowo narodzonych dzieci. W karetce leżało potraskane, bez życia, ciało ukochanej żony. Miał całonocny wyjazd służbowy, a ona na okrągło była na nogach przy dzieciach. Późnym popołudniem siadła z filiżanką herbaty na parapecie, oczekując na męża. Najprościej w świecie musiała przysnąć, straciła równowagę i wypadła z okna.

Teraz Kane nie zawracał sobie głowy pobiegnięciem po konia, ale runął w dół stoku, potykając się o skały i pnie, zapadając w kopczyki zeschniętych liści, ślizgając się po skale. Chciał zatrzymać auto, zanim minie zakręt.

Ostatnie kilka stóp pokonał jednym susem i wylądował na czworakach zaledwie kilka jardów przed samochodem. Kierowca gwałtownie nacisnął hamulec. Trysnęła fontanna żwiru, samochód wpadł w poślizg, odwrócił się bokiem, a kierowca walczył o odzyskanie panowania nad pojazdem i wyprostowanie kół. Auto jeszcze się nie zatrzymało, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie i na drogę wyskoczył brat Kane'a, Michael.

- Co ty wyprawiasz, do cholery? Mogłem cię zabić! - krzyknął, nawet nie pomagając bratu się podnieść.

Kane powoli wstał, otrzepał żwir i kurz z ubrania i z rąk.

- Co się stało? Czemu jesteś w Kolorado?

Mike oparł się o maskę samochodu, jakby bolał go każdy mięsień.

Byli bliźniakami jednojajowymi, podobnymi do siebie jak dwie krople wody; mieli dokładnie ten sam wzrost, rozmiary, oczy i kolor włosów. Przez całe życie byli sobie bliscy, tak bliscy, że czasem porozumiewali się bez słów. Wielokrotnie niezależnie od siebie mieli te same poglądy i myśli, i często zdarzało im się kupować, nie wiedząc o tym, taką samą koszulę i nosić jąz tej samej okazji. Nigdy nie mieli przed sobą sekretów, a gdy któryś z nich dowiadywał się czegoś, zawsze najpierw dzielił się wiadomościami z bratem.

- Gratuluję - powiedział cicho Kane, bo nawet nie poinformowany wiedział, że bratowa właśnie powiła bliźniaki. Przez długą chwilę trwali w mocnym uścisku miłości i zrozumienia. Wreszcie odsunęli się od siebie szeroko uśmiechnięci.

- A więc? - zapytał Kane, świadom, że brat wie, iż pierwszym pytaniem będzie: „Dlaczego wyjechałeś z Nowego Jorku?”

Mike przetarł twarz gestem wyrażającym zmęczenie i rozdrażnienie.

- To było nie do zniesienia. Po pierwszych bólach Samantha postanowiła, że dzieci przyjdą na świat w Chandler, Kolorado, i mama musi być przy tym. Nikt nie potrafił przemówić jej do rozumu, a potem... no zaczęła płakać, więc Blair i ja załadowaliśmy ją i twoich chłopców do odrzutowca i poleciliśmy. Sam była spokojna, ale ja i Blair dostawaliśmy obłądu. A gdyby dzieci przyszły na świat w samolocie i potrzebowały czegoś, czego nie było pod ręką? Sam powtarzała, że nie powinniśmy się denerwować, że chłopcy zaczekają, póki nie będą mogli zobaczyć babci. Tato i mama czekali z karetką na lotnisku. Kiedy tylko dojechaliśmy do szpitala, wody zeszyły i dzieciaki wyskoczyły jak korki od szampana.

- Mike przerwał i uśmiechnął się szeroko. - Można by się spodziewać, że przyście na świat moich dzieci będzie intymną sprawą, ale mama, tato, Jilly, Blair i dwie pielęgniarki tkwili na sali porodowej. Oczekiwałem, że lada chwila ktoś zacznie krążyć z tacą z kanapkami.

Narzekania Mike'a nie oszukały brata. Mike był w siódmym

niebie, po tym jak synowie przyszedli na świat w ramionach jego rodziców; był w siódmym niebie, bo jego rodzina kochała Samanthę równie gorąco jak on.

- Sam ma się dobrze? Dzieciaki też?

- Taaa, mają się świetnie. Wszyscy są w znakomitej kondycji, ale...

- Co „ale”?

- W szpitalu jest jeden dom wariatów. Krewni, których w życiu nie widziałem na oczy, zjeżdżają się jeden za drugim.

Mike nie musiał tłumaczyć bratu, że chce mieć żonę i dzieci tylko dla siebie, że chce być z nimi sam na sam. Kane to rozumiał. Przez dwa tygodnie po przyjściu na świat jego synów rodzina żony krążyła wokół nich tak, że czuł się wręcz przyduszony. Teściowa należała do kobiet, które uważają, że mężczyźni nie powinni zmieniać pieluszek, więc Kane'owi rzadko kiedy pozwalano dotknąć malutkich synków. Dopiero gdy wyjechała, mógł wziąć w ramiona żonę i dzieci, dotknąć ich, pogłaskać, potrzymać.

Spoglądając na brata, rozumiał frustrację i zazdrość, które nim targały. Wyobrażał sobie Mike'a na progu szpitalnego pokoju, obserwującego procesję krewniaków spędzających z jego nowo narodzonymi synami więcej czasu niż on. Kane'a też kiedyś często gryzło to, że któreś z niemowląt pierwszy raz uśmiechnie się nie do kogoś innego, a nie do własnego ojca.

Objął Mike'a po kumplowsku.

- Wiesz, co mi się marzy? Chciałbym ściągnąć tu moich chłopców. W tej grupie są same kobiety i jestem pewien, że zepsułyby ich ze szczętem.

- Taaa - odrzekł ponuro Mike. - Chcesz, żebym ich tu przywiózł?

- Sam pojechałbym po nich do Chandler.

Mike był tak pochłonięty swoją niedolą, że początkowo nie zrozumiał.

- Zaczekaj. Chcesz, żebym został, a ty pojedziesz?

- Chodzi tylko o jedną dobę. A poza tym chcę zobaczyć moich bratanków. Są tak samo brzydki jak ty?

Ten stary dowcip nigdy nie zawodził.

- Skąd mam wiedzieć, jak wyglądają? - Mike westchnął.

- Rodzinka nie dopuszcza mnie do nich.

- A czemu miałyby cię dopuszczać? Zrobiłeś swoje i nie jesteś już potrzebny. - Kane roześmiał się z ponurej miny brata. - Mówię poważnie. Muszę... muszę odpocząć od tego.

- Odpocząć? Byłeś z tymi kobietami zaledwie kilka dni. - Mike uniósł pytająco brew. - Co się tu dzieje?

Kane przedstawił swoją wersję ostatnich dni, mówiąc Mike'owi, jak cudowna jest Ruth i jak do niczego jest duet.

- A ta pisarka kryminałów? Sam uwielbia jej książki i chciałaby ją poznać.

Po chwili milczenia Kane wręcz eksplodował stekiem wyzwisk. Opowiedział o tym, jak mało nie odstrzeliła mu stopy, wbiegła pod kopyta rozwścieczonego konia, w ogóle cały czas była drzazgą w tyłku.

- Gdziekolwiek spojrzę, zawsze się pojawi. Kiedy jesteśmy razem z Ruth, szpieguje nas. Mówi na mnie „kowboj Taggert” i pyta, czy przy liczeniu muszę stawiać kreski na ziemi.

Mike przygryzł wargi, aby nie wybuchnąć śmiechem.

- To nic śmiesznego. Ta kobieta jest wariatką - oświadczył Kane, a potem opowiedział Mike'owi o ataku jej hysterii po zastrzeleniu węża. - Zagoiło się już, ale na policzku miałem trzy zadrapania od jej pazurów.

- Nie mogła zadrapać cię tak głęboko, jeśli już się zagoiło.

Mike i Kane rzadko miewali odmienne zdanie. Matka powiedziała, że byłaby to walka z cieniem, więc po spojrzeniu Kane'a Mike ustąpił. Doba to niedługo, a Sam nawet się nie dowie, że męża nie ma w domu. Może pozostanie tu przez cały dzień wcale nie było takim złym pomysłem.

- Niech ci będzie - rzekł. - Widzimy się w Eternity jutro wieczór.

Kiedy nastał ranek, byłam zadowolona, że to mój ostatni dzień na rajdzie. Nie cierpiałam uchodzić za oferme, a jeszcze bardziej nie cierpiałam być niecierpiana. Przez kilka chwil leżałam w śpiworze i wymyślałam zabawne historyjki, jakimi uraczę redaktorkę po powrocie do Nowego Jorku. Zemszczę się opisując całemu wydawnictwu eskapadę w dzikie ostępy Kolorado. Jeszcze lepiej - napiszę książkę, po której cały świat będzie się śmiał z wielkiego kowboja i jego požądania do dwulicowej kobiety!

Czując się o niebo lepiej i pełna życzliwości względem całego świata wyrzebałam się z tego znieawidzonego śpiwora, naciągnęłam na siebie džinsy - czy jest coś gorszego niż spanie w ubraniu? - wzięłam saszetkę z kosmetykami i udałam się do strumienia sprawdzić, czy zdołam zeskrobać trochę brudu z twarzy. Jak mi się poszczęści, pewnie złapię jakiegoś grzyba w czystej górskiej wodzie i umrę straszną śmiercią.

Właśnie skończyłam się pucować, gdy usłyszałam za plecami ciężkie stąpanie. To był nasz nieustraszony przywódca albo ostatni ocalały dinozaur.

Jak zwykle zatrzymał się tuż-tuż, niewątpliwie przesywając mnie wściekłym wzrokiem, gotów oświadczyć, że coś sknociłam. Ignorowałam go tak długo, jak się tylko dało, aż wreszcie

podniosłam głowę, ale ku mojemu zdziwieniu ujrzałam mężczyznę, którego nigdy przedtem nie widziałam.

- Och! - krzyknęłam. - Myślałam, że to ktoś inny.

To chyba zaskoczyło tego faceta. Ależ tumany wyrastają w tym Kolorado. Wielkie, przystojne, dobrze zbudowane, kompletne tumany.

- A kogo się spodziewałaś? - zapytał.

Wstałam i przyjrzałam mu się.

- Nie wiem, czy ci to ktoś powiedział, ale trochę przypominasz... naszego przewodnika.

Mężczyzna wyszczerzył się do mnie, jakby usłyszał coś, na co czekał całe życie, i pomyślałam: Wspaniale. Poprzednio nie udało mi się powiedzieć ani zrobić niczego, co przypadłoby do gustu tamtemu facetowi, a ten wydaje się być zadowolony byle zdawkową uwagą. Oczywiście, porównanie do naszego kowboja-przywódcy mogło pochlebić temu gościowi.

Podał mi łapę.

- Ty pewnie jesteś Ruth. Jestem brat Kane'a, Mike.

Potrząsnęłam jego ręką i wyprowadziłam go z błędu.

- Nie jestem Ruth. Jestem Cale Anderson i twój brat mnie nie cierpi.

Nie wiem, czy sprawiły to słowa „nie cierpi”, czy fakt, że nie okazałam się czarującą Ruth, o której najwyraźniej wiele słyszał, ale był zbity z tropu. Stał, otwierał i zamykał usta, i wyglądał jak pracujące ludzkie serce pokazywane w jednym w tych programów telewizji oświatowej.

- Ale Ruth jest... Ruth i Kane... myślałam...

Rany, pomyślałam, toż to orzeł intelektu.

Jakby czytał mi w myślach. Przestał odgrywać dogorywającego karpia. Uśmiechnął się i nie puszczał mojej ręki, chociaż próbowałam ją wyrwać.

- Słuchaj - rzekł - przepraszam za omyłkę. Kane powiedział mi, że są z Ruth stałą parę, więc kiedy nie wiedziałas, kim jestem, wzięłam cię za Ruth.

Teraz wszystko stało się jasne! Teraz wszystko zaczęło do siebie pasować. Jeśli po raz pierwszy widzę jakiegoś faceta, to muszę być Ruth Edwards. Oczywiście. Jasne jak amen w pacierzu.

Mike roześmiał się, puścił moją rękę i usiedliśmy na ziemi. Zaczął opowiadać mi wielce zawiązaną historię o tym, jak to jego brat i on są bliźniakami jednojajowymi. Taaa, jak najbardziej, i ja jestem bliźniaczką jednojajową Kathleen Turner - pomyślałam. Zapewne dostrzegł mój sceptycyzm, ale zaczęłam się śmiać, gdy zapewnił mnie, że przez następne dwadzieścia cztery godziny będzie udawał, że jest Kane'em. Równie dobrze ja mogłabym podawać się za O. J. Simpsona.

Wysłuchałam wszystkiego, co miał mi do opowiedzenia, pogratulowałam mu przyjscia na świat potomstwa i nawet odpytałam o dzieci Kane'a, lecz nadal uważałam go za głupka, jeśli myślał, że ktoś weźmie go za brata.

Skończył, roześmiał się z mojej miny i zapewnił, że mu się uda. Przy okazji zapytał z całą powagą:

- Kto jest przystojniejszy, ja czy brat?

Nie chciałam go urazić, ale prawdę mówiąc, jeśli chodzi o wygląd, to Kane mieści się w zupełnie innej klasie. Z całym taktem, na jaki było mnie stać, powiedziałam:

- Jesteś całkiem przystojnym facetem, Mike, ale Kane...

Nie skończyłam, bo Mike wybuchnął głośnym śmiechem i cmoknął mnie w oba policzki. Nie wiem, co mu się tak spodobało, ale był zdecydowanie w dobrym humorze.

Ponieważ uparł się, że naprawdę zdoła podszyć się pod brata, spędziliśmy jakieś pół godziny nad strumieniem dyskutując, jak będziemy się do siebie odnosić na rajdzie. Opowiedziałam mu o Winnie-Maggie i kiedy się zaśmiał, zrozumiałam, że znalazłam widownię, i dałam z siebie wszystko. Początkowo byłam ostrożna co do Ruth, ale śmiech Mike'a i jego rozbawione oblicze - im bardziej rechotał z moich żartów, tym bardziej przystojniał - dodały mi skrzydeł. Takich skrzydeł, że zakończyłam

improwowaną parodią Kane i Ruth, po której Mike związał się ze śmiechu po ziemi.

- Przy okazji - powiedziałałam, kiedy nadal się zaśmiewał - Kane naprawdę nie cierpi mnie serdecznie.

Starał się pokazać, że jest tym wstrząśnięty, lecz po iskierkach w jego oczach wiedziałam, iż Kane ostrzegł go przede mną. Mike uznał mnie za „tę dobrą”, dlatego sądził, że zobaczył Ruth.

- Dlaczego cię nie cierpi?

Powiedział to takim tonem, jakby nie wierzył, że ktokolwiek na całym świecie może mnie nienawidzić. To było przyjemne, bardzo, bardzo przyjemne i uśmiech, jaki mu posłałam, wyrażał niemal miłosne oddanie.

- Może nie jesteś tak przystojny jak twój brat, ale chyba bardziej mi się podobasz. Nie zostałbyś na cały rajd?

Nie wiedzieć dlaczego, to też mu się spodobało i wstając pomógł mi się podnieść.

Wiecie, niech mi ktoś wytłumaczy, na czym polega erotyczna fascynacja? Dlaczego z dwóch stojących obok siebie przystojniaków jeden cię podnieca, a drugi nie? Oto byłam sama w lesie z fantastycznym facetem, który zaśmiewał się z moich żartów i któremu najwyraźniej bardzo się podobałam, ale żywiłam do niego wyłącznie siostrzane uczucia. Jasne, miał żonę i dwoje dzieci prosto z opakowania, ale od kiedy to obrączka na palcu mężczyzny tłumi seksualną fascynację? Z drugiej strony Kane Taggart w najlepszym wypadku krzywił się na mój widok, w najgorszym - wrzeszczał. On nie cierpiał mnie; ja nie cierpiałam jego. Ale ile to razy rozmarzona zastanawiałam się, czy całą skórę ma cudownie złotą, czy też jego brzuch jest biały jak u żaby?

Poszliśmy z Mike'em do obozu. Po drodze opowiadał mi, jak jego żona przepada za moimi książkami. Wyłoniło się obozowisko Sandy'ego i rozdzieliliśmy się. Byłam gotowa przyglądać się, jak Mike robi z siebie durnia, próbując udawać Kane'a.

Trudno opisać, co przeżyłam, gdy ludzie zaczęli traktować Mike'a jak Kane'a. Nawet Sandy burczał, że Kane siedział za długo w lesie i nic nie pomógł. Mało nie zachichotałam, kiedy Mike mrugnął do mnie konspiracyjnie. Jaka rozkoszą było czuć się lubianą!

Wszystko szło gładko, gdy mężczyźni siodłali konie i przygotowaliśmy się do wyjazdu. Mike sprawdził, czy strzemiona mojego siodła mają dobrą długość i kiedy przekonał się, że tak jest, spytał, dlaczego koń Ruth ma przypaloną szyję. Chciałam mu powiedzieć, ale nie mogłam. W podstawówce za wiele nasłuchiwałam się wycia dzieciarni: „Skarżypyta, skarżypyta!”, żebym teraz męłła ozorem. Powiedziałam, że nie mam pojęcia, ale poczerwieniałam jak pomidor i Mike warknął:

- Ktoś powinien dać ci lekcje oszukiwania.

Oczyszczenie z zarzutów to istna błogość.

Wędrowaliśmy przez kilka godzin i Mike bez reszty poświęcił uwagę Ruth. Droga się poszerzyła i mógł jechać obok niej. Za nimi podążały jej panny służące. Wyglądały tak, jakby lada chwila miały spaść na ziemię i tylko kurczowe trzymanie się łęków ratowało je przed nieszczęściem. Sandy i ja zamykaliśmy tyły. Żadne z nas nie było zbyt rozmowne. Obserwowaliśmy Ruth i Mike'a.

O zmierzchu dotarliśmy do rozpadającego się miasteczka Eternity. Stało tam kilka budynków krytych szarą, zniszczoną przez wiatr i deszcz szalówką. Szyldy zwisały z fasad. Na jednym z nich był napis „Paryż Pustyni”, co mnie rozbawiło. W milczeniu jechaliśmy szeroką główną ulicą, zarośniętą chwastami. Skierowaliśmy się do wielkiego domu na skraju miasteczka. Sandy powiedział, że tam się zatrzymamy.

Po dojechaniu na miejsce zmęczona i obolała zsiadłam z konia. Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam Mike'a idącego ku mnie z siodłem Ruth przerzuconym przez ramię.

- Ruth jest dokładnie taka, jak mówiłaś - rzucił mi w przełocie.

To natychmiast poprawiło mi humor. A także dodało energii.

W godzinę później pomogłam Sandy'emu i Mike'owi przy-
smażyć hamburgery. Przy kolacji zawałam sprawę.

- Podałbyś mi musztardę, Mike? - poprosiłam.

Oczywiście, wszyscy zamarli i popatrzyli na mnie, więc roze-
śmiałam się słabo i powiedziałam, że Kane przypomina mi
znajomego, który nazywa się Mike, stąd pomyłka. Kobiety nie
poświęciły temu więcej uwagi, ale Sandy na pewno wyczuł pismo
nosem. Zrobiło mi się przykro i bardzo chciałam przeprosić Mike'a
za zdradzenie sekretu.

Po kolacji pomogłam przy zmywaniu. Nie udało mi się dorwać
Mike'a samego - wyglądało na to, że Ruth uczepiła się go na stałe
- więc wybrałam się na spacer.

Jestem dobrym piechurem i stwierdziłam, że chodzenie pomaga
mi w myśleniu, więc chyba przeszłam kilka mil zarośniętej
chwastami drogi, zanim dotarłam do ślicznego małego domku.
W naturalny sposób wpasował się w ongi rozkoszny ogródek.
Kilka róż nadal kwitło przy werandzie.

- Kiedyś mieszkał tu mój przodek.

Mike odezwał się cicho, ale mimo to podskoczyłam.

- Przepraszam - rzekł. - Pewnie szukałaś samotności, ale
obawiałem się, że mi się zgubisz.

Uśmiechnęłam się do niego. W blasku księżycy był prawie tak
przystojny jak jego brat.

- A jeśli chodzi o to wieczorem... - zaczęłam, ale Mike
roześmiał się i powiedział, że Sandy jest przyzwyczajony do
żartów bliźniaków i gdy tylko Mike się wytłumaczył, staruszek nie
miał pretensji.

- Przyniosłem, lampę. Chcesz się rozejrzeć?

Mike był boskim kompanem. Opowiedział mi o swoich przo-
dkach, którzy mieszkali w tym domu. Wśród nich był aktor
tak znakomity, że nazwano go Wielki Templeton. Byłam za-
uroczona opowieściami i domkiem z pożółkłymi tapetami w kwi-
tnące bujne róże.

- Cale - poprosił mnie Mike, kiedy obeszlśmy dom. - Niech się dzieje, co chce, ale nie zdradź Kane'owi, że wiesz o tym, że zamieniliśmy się miejscami.

Nie rozumiałam, dlaczego miałoby to odgrywać jakąkolwiek rolę, ale roześmiałam się.

- Ja nie żartuję - powiedział. - Nie pomyśl się i nie palnij: „Mike powiedział” czy „Mike zrobił”. To ważne, Cale.

- Dobra. Harcerskie słowo honoru.

Te wszystkie szpiegowskie tajemnice przypominały mi moje książki.

- Teraz muszę wyjść na spotkanie Kane'owi. Przyjedzie ciężarówką. Kiedy się znów zobaczymy, będę kim innym.

To chyba był żart w stylu bliźniaków. Podałam mu rękę, ale on uściskał mnie jak siostrę, wyczałował i kazał przyrzec, że odwiedzę go i jego rodzinę. Potem znikł i poczułam się tak, jakbym straciła kogoś, kto mógłby zostać moim przyjacielem do grobowej deski.

Nie chciało mi się wychodzić z tego domu. Tchnął miłą atmosferą, jakby ludzie, którzy dawniej w nim żyli, promieniowali weselem i radością.

Z latarnią Mike'a wałęsałam się po parterze, weszłam na pięterko, znów wróciłam na parter. Wiedziałam, że robi się późno i powinnam wracać do grupki tych przecudownych kobiet, ale zwlekałam.

Kiedy się tak ociagałam, ujrzałam Kane'a Taggerta stojącego w drzwiach. Na każdym ramieniu trzymał małego, pięcioletniego chłopczyka. Spali ufnie przytuleni do ojca. Były to najpiękniejsze istoty, jakie ujrzałam w życiu. I zapragnęłam ich.

Pewnego razu zdarzyło mi się ujrzeć stół wart trzydzieści tysięcy dolarów i oszaleć na jego punkcie. Marzyłam o tym stole tak jak mężczyźni marzą o posiadaniu najszybszego samochodu lub jak kobieta śni o mężczyźnie. Ale nigdy nie zapragnęłam niczego równie gorąco jak tych dwojga rozespanych chłopcyków.

Wiedziałam, że kowboj Taggert i ja jesteśmy wrogami na śmierć i życie. Wiedziałam, że się nie cierpimy, ale wiedziałam też, że muszę dotknąć tych dwóch uroczych istotek. Pogładziłam czarne kędziorki puszyste jak włosy amorka.

- Czy są prawdziwi? - szepnęłam.

Rozbawiony Taggert powiedział:

- Bardzo prawdziwi.

Przesunęłam rękę na miękki policzek.

- Są zbyt doskonali.

Mruknął zgryźliwie:

- Nie wiem, jak z doskonałością, ale teraz są przynajmniej czysti. Daj im dwie godziny i znów się umorusają.

- Jak mają na imię?

- Jamie i Todd.

Czułam, że dziwnie mi się przypatruje, ale zignorowałam go i pogładziłam drugiego śpioszka.

- Który jest który?

- Nie ma to znaczenia, ale ten jest Jamie, a tamten Todd.

Nie ma to znaczenia, pomyślałam. Jak to dziwnie zabrzmiało. Potem pomyślałam: Bliźniaki. Mike i Kane są bliźniakami, dzieci Mike'a są bliźniakami, więc nic dziwnego, że ktoś mógłby pomyśleć, iż te dzieci są też bliźniakami. Nie obchodziło mnie, czy cała rodzina Taggertow to świry. Jeśli Kane chciał udawać, że jego dzieci wyglądają podobnie, byłabym ostatnią osobą, która wyprowadziłaby go z błędu.

Zaczęły się budzić. Byłam naprawdę zdumiona, skąd mają tyle sił, by podnieść te gęste firany rzes.

- Co to jest? - zapytał Jamie, trąc piąstką oczy.

- To dawniej był czyjś dom - odparłam. - W sypialni jest wielka pajęczyna. Chcecie ją zobaczyć?

- Jest w niej jakiś pająk? - spytał Todd, nie podnosząc ślicznej główki z ramienia ojca.

- Jeden ogromniasty pająk i kilka zdechłych much.

Wyciągnęłam na próbę rękę i Jamie wsunął w nią swoją rączkę.

To samo zrobił Todd. Natychmiast obaj chłopcy stanęli u moich boków i poszliśmy do sypialni.

To były urocze dzieci: pojętne, ciekawe, skore do śmiechu, pełne energii. Rozmawialiśmy o pajakach i pajęczynach i opisałam im szczegółowo, jak pająk łowi muchy i owija je nicią. Przez jakiś czas siedzieliśmy na podłodze, każdy ciepły chłopczyk wtulony w moje ramię, i rozmawialiśmy.

Nie miałam pojęcia, co tymczasem porabiał tata kowboj. Chyba stał w progu i się nam przyglądał, ale nie jestem tego pewna, bo za bardzo byłam skupiona na chłopcach, aby się nim zajmować. Po jakimś czasie Kane powiedział, że dzieci muszą wracać do obozu i iść spać, na co maleństwa zerwały się na równe nogi i zaczęły szaleć po pokoju, podnosząc ogłuszający wrzask. Po kilku chwilach Kane złapał za jeden kołnierzyk i wyciągnął rękę po drugi, lecz Jamie poszukał schronienia za moją nogą i Todd też usiłował zbiec do mnie.

- Todd - powiedziałam - ty idziesz z tatą, a ty, Jamie, idziesz ze mną.

Ledwo to wyrzekłam, wiedziałam, że zrobiłam błąd. Chyba nie powinnam umieć rozróżniać i tych bliźniaków. Ale mogę z dumą stwierdzić, że wypuściłam zasłone dymną. Oznajmiłam, że Todd ma tłustą plamę na kołnierzyku i stąd wiem, który jest który. Kane przyjrzał mi się krzywo, lecz wzruszył ramionami. Wziął najpierw jednego, potem drugiego malca.

- Kto ty jesteś? - spytał Todd.

Wiedziałam, że z Todda wyrośnie człowiek interesu, podczas gdy Jamie zostanie pożeraczem serc niewieścich.

Po chwili zastanowienia udzieliłam odpowiedzi.

- Opowiadam bajki.

Obaj chłopcy pokiwali głowami.

Kane jak zwykle uznał mnie za idiotkę i nie okazał krzty zrozumienia wobec najprostszego nawet pomysłu.

- Chyba raczej chodzi mu o to, jak się nazywasz.

- Jamie, jak ja się nazywam?

- Cale - odparł błyskotliwy chłopczyk.

Posłałam Kane'owi wielce tajemniczy uśmiech, zanim pomknęłam przed nimi, zostawiając za sobą mały domek.

Wiedziałam, że dziecko zna moje imię, ale nie ma pojęcia, czym zajmuję się na tym świecie. Kiedy się miało takiego ojca, jakim los mnie obdarzył, człowieka, który nigdy nie pozwala ci na niezależność, ale zrzuca na twoje młode barki ogromną odpowiedzialność, połowa ciebie nigdy nie jest dzieckiem, a druga połowa nigdy nie urośnie. Rozumiem dzieci, bo jakieś dwie i pół stopy mnie zawsze ma osiem lat.

Następne go dnia Kane nie dopuszczał mnie do dzieci. Najwyraźniej zależało mu na stworzeniu więzi między nimi i Ruth, ale nie trzeba było geniusza, aby zrozumieć, że ona nie przepada za dziećmi. W chwili, w której Jamie wsadził sobie do ust pasikonika, chuda połowa duetu zapytała, co on je. Z satysfakcją obserwowałam, jak wypluty przez chłopca owad wędruje po jedwabnej bluzce Ruth. Musiałam opuścić obozowisko, kiedy Ruth straciła rękę Kane'a ze swojej bluzki i warknęła:

- Zabierz ode mnie te brudne bestie.

Musiałam odejść, żeby nie pęknąć powstrzymując się od śmiechu. Tuż przed odejściem zaznałam satysfakcji, bo spotkałam się wzrokiem z Kane'em i uniósłszy brwi mogłam mu zadać nieme pytanie: „A więc to jest kobieta, którą pragniesz pojąć za żonę?” Porwałam jabłko i pomaszerowałam do domu Templetona.

Dotarłam tam i zaraz poczułam się lepiej. Zaczęłam się zastanawiać, kiedy mogę wrócić do Chandler i złapać pierwszy wylatujący samolot. Pragnęłam uwolnić się od całego klanu Taggertów. To byli sami wariaci, z ich bliźniakami, którzy nie byli do siebie podobni, z ich szybko mijającymi wybuchami nienawiści i uwielbienia. Cudownie będzie znaleźć się w Nowym Jorku, w którym ludzie mają wszystkie klepki w porządku.

Poszłam na strych, siadłam na parapecie okna, patrzyłam na drogę i gryzłam jabłko. Czułam jednak, że będzie mi brakowało

tych dzieci. Był to absurd, biorąc pod uwagę, iż poznałam je niecałe dwadzieścia cztery godziny temu. W nocy Jamie wczołgał się do mnie do śpiwora, a potem rano Todd płakał, bo Jamie spędził ze mną więcej czasu niż on. Wtedy właśnie Kane zabrał mi ich i podsunął Ruth.

Siedziałam sobie tam, gryzłam jabłko i nagle zobaczyłam Kane'a - samego, bez dzieci - idącego w kierunku drewnianej chatki. Podniósł głowę, zobaczył mnie i przez chwilę wydało mi się, że mam przed sobą trupią twarz jakiegoś nieżywego aktora. Nawet z piętra dostrzegłam, że zbladł. Pobiegł do domu, tak jakby zobaczył coś strasznego, przerażającego.

Ja natomiast byłam jak sparaliżowana. Kiedy wpadł do domu lotem strzały, a potem wdarł się po drabinie na strych, nie potrafiłam się ruszyć.

Ściągnął mnie z parapetu i potoczyliśmy się po podłodze. Starłam sobie skórę na szorstkiej drewnianej podłodze, gdy wylądowało na mnie dwieście funtów Kane'a. Początkowo usiłowałam się uwolnić, ale przestałam po uświadomieniu sobie, że on się nie rusza. Rozciągnął się na mnie i przyglądał, jakbym była jakimś okazem muzealnym. Przez chwilę odpowiadałam mu wściekłym spojrzeniem, żeby pojął, jak bardzo nie życzę sobie jego tak bliskiej obecności.

Boże, ależ on był przystojny! Miał krótkie, gęste rzęsy, które się autentycznie podwijają, co ja osiągałam po godzinnym torturowaniu tuszem. Miał nabrzmiałe, miękkie, lekko rozchylone usta i czułam jego oddech na twarzy.

Pewnie każdy z nas uważa się za istotę racjonalną i chętnie wyobrażamy sobie, że w dramatycznej sytuacji - niech to będzie pożar domu - zachowamy się spokojnie i inteligentnie. Ale gdy następuje coś potwornego, z zakłopotaniem stwierdzamy, że postępujemy dokładnie wbrew naszym oczekiwaniom.

Tak zachowałam się ja - gdy ten wielki kowboj patrzył na mnie spod rzęs i owionął mnie jego słodki, ciepły oddech. Chciałam się spod niego wyrwać. Szczerze, chciałam. Wyobrażałam sobie, że

wytaczam się, stoję nad nim, chłodna, triumfująca, obojętna na jego urodę i mówię coś w rodzaju: „Nie waż się nigdy więcej mnie dotknąć.”

To chciałam zrobić. Ale zamiast tego przesunęłam językiem po jego wargach.

Ten gest zaskoczył i mnie, i jego. Hm, wydaje mi się, że to było dla niego coś więcej niż zaskoczenie. Prawdę mówiąc, podniecił się.

Jedną z przyjemnych stron kobiecości jest możliwość ukrycia seksualnego podniecenia przed światem. Och, kobieta może się zaczerwienić albo zacząć trochę dziwnie posapywać, ale zawsze może to rzucić na wary. Ale mężczyźni nie są w stanie ukryć swoich uczuć - a może „pragnień” jest właściwszym słowem. I właśnie zorientowałam się, że ten kowboj mnie pragnie, bo dowód jego pożądania groził przecięciem mojego lewego biodra.

Teraz, pomyślałam, jest idealna chwila na to, aby wydostać się pod niego i zakpić: „Ha, ha, ha. Masz na mnie chrapkę, a mnie to wcale nie rusza.”

Ale życie nigdy nie chce potoczyć się wedle naszych planów, bo pragnęłam tego mężczyzny bardziej niż czegokolwiek na świecie - poza opublikowaniem mojej pierwszej książki - i nie stać mnie było na wyrwanie się spod niego.

Moim zdaniem, pierwsze seksualne przeżycia winny odbywać się podczas kolacji przy świecach i nie powinny wykraczać poza delikatne pocałunki w zgięcie łokcia, ale w naszym wypadku nie było żadnej szansy na taki scenariusz. Nawet nie wymieniliśmy pocałunków. Zaczęliśmy zdzierać ubrania jedno z drugiego, jakbyśmy chcieli zamordować się nawzajem. Ten seks przypominał zagraniczne białe-czarne filmy, na których ludzie cały czas gadają jak najęci, a ty myślisz tylko o tym, że masz pełny pęcherz; potem nagle on przypiera ją do drzwi stodoły i myśli o pęcherzu całkiem wylatują ci z głowy.

Rzuciliśmy się na siebie równie wściekli i rozjuszeni jak podczas naszych rozmów. Jednym szarpnięciem rozpięłam mu koszulę i zrozumiałam to, co zawsze mnie dręczyło: dlaczego kowbojskie

koszule mają zatrzaski zamiast guzików. Używa się ich z myślą o szybkim ciupciani na sianie.

Nie wiem, jak zdjął ze mnie ubranie. Nosiłam dzinsy z tym okropnym krótkim zamkiem błyskawicznym, do zdjęcia których musisz najpierw wysunąć tyłek, a potem zsuwać je powoli z bioder, raz z jednej, raz z drugiej strony. Ale tym razem nie musiałam nic zsuwać. Jednym bezproblemowym szarpnięciem zerwał mi spodnie, a potem jak magik raz przejechał dłońmi po moich zasznurowanych butach i spadły - po prostu spadły bez żadnych mąk.

Kiedy znowu mnie objął, byliśmy oboje nadzy i, Boże, jakie ciało miał ten mężczyzna! Nie za bardzo je widziałam, ale czułam, ile trzeba. Wyobraźcie sobie pięknego atletę. Wyobraźcie sobie gładką, ciepłą skórę pokrywającą to ciało. Jego skóra dotknęła mojej i zachłysnęłam się, jakby ktoś zlał mnie lodowatą wodą - tylko że to nie zimno obudziło we mnie to wrażenie.

W przypadku tego mężczyzny mięśnie nie były jedyną interesującą rzeczą. Słyszałam, że skóra jest największym organem ludzkiego ciała, ale jeśli chodziło o tego faceta, wypadałoby dokonać pewnych pomiarów, aby przekonać się, czy to faktycznie prawda.

Wszedł we mnie z pełną swobodą i umiejętnością włamywacza wślizgującego się do sypialni na dwudziestym piętrze wysokiego wieżowca.

Teraz przyszła pora na tę część seksu, której zawsze nie cierpiałam - nie twierdzę, że dysponuję w tym zakresie wielkim doświadczeniem, lecz wydawało mi się, że trzy minuty to granica męskich możliwości. Czasem, kiedy czytam o wysiłkach mężczyzn, starających się przełamać barierę czterech minut na jedną milę, zachodzę w głowę, dlaczego nie zajmą się czymś ważniejszym, na przykład pokonaniem bariery czterominutowej w odwrotnym kierunku podczas pieprzenia.

Początkowo leżałam nieruchomo, gotowa na zawód, gdy stęknie, legnie na mnie, powie: „Nieźle, mała”, i zacznie chrapać. Ale ten

gość nie poprzestał na trzech minutach. Nie jestem dobrym sędzią czasowym w takich okolicznościach, jednak chyba gdzieś tak po sześciu minutach nadal wchodził we mnie i wychodził powoli, sprawnie, jakby nie zamierzał skończyć do następnej soboty.

Nie potrafię wytłumaczyć tego, co się ze mną działo. Umiem tylko powiedzieć, że zaczęłam się budzić. To było tak, jakby wewnątrz mnie żyła kobieta - nie, wróc, nieprzeciętna kobieta: wysoka, blondwłosa bogini nagle zaczęła się unosić z miejsca, w którym przespała całe życie. Rozprostowała się lubieżnie, przeciągnęła, przetarła oczy i rozejrzała się. A kiedy się rozejrzała, zaczęła rosnać. Była coraz większa i większa, aż zaczęła mnie wypełniać, wypełniać do koniuszków palców u rąk i nóg. Wypełniła moją głowę tak całkowicie, że po raz pierwszy, odkąd pamiętam, nie było tam opowieści. Zamiast opowieści moje ciało było pełne tego mężczyzny i obudziłam się, naprawdę, autentycznie, całkowicie obudziłam się po raz pierwszy w życiu. Każdy koniuszek nerwy, każdy por, każda komórka mojego ciała ocknęła się, była wrażliwa i pobudzona do życia.

Nie wiem, co robiłam. To znaczy, nie pamiętam, co robiły moje ręce i moje usta. Pamiętam, że w pewnym momencie odwrócił mnie i napędzana tymi dwustoma funtami męskiego ciała ślizgałam się po podłodze, aż musiałam zaprzeć się rękami o snop siana, by leżeć w miejscu.

Pamiętam, że byłam bezwstydna. Pamiętam, że opuściła mnie godność i rozwaga. Pamiętam, że byłam bliższa zwierzęciu niż myślącej, racjonalnej ludzkiej istocie. Pamiętam, że w końcu pojęłam, co mieli na myśli ludzie mówiąc, że seks jest podstawową potrzebą, jak woda i jedzenie. Do tego dnia na tym strychu z tym mężczyzną nie wierzyłam w to stare powiedzenie. Myślałam sobie, że ludzie potrzebują bezwzględnie wody i pokarmu, ale nie seksu. Myliłam się.

Odwrócił mnie z powrotem na plecy, założył moje łydki na swoje barki i kontynuował. Zamieniłam się w oszalałą klakierkę. Chyba nie wydawałam podniecających, eleganckich pojękiwań,

a już gwarantuję, że nie mówiłam nic racjonalnego. Jeśli chodzi o moje miejsce na drabinie ewolucji to w tamtej chwili byłam tuż poniżej szczebla istoty ludzkiej zdolnej komunikować się za pomocą mowy.

Po chwili poczułam, że zaraz wybuchnę. Dobra, wiem, że to slogan. Wiem, że milion razy używano tego określenia, ale kiedy ty sama przeżywasz to po raz pierwszy, to prawie strach cię oblatuje. I myślę, że byłoby się czego bać, gdybym chciała powstrzymać ten wybuch, ale to przypominało upartą walkę łososia skaczącego w górę strumienia. Było to coś, ku czemu sama dążyłam.

Kłęczał, a ja opasałam go nogami i poruszałam się z jakąś nadludzką siłą. W tym momencie potrafiłabym poruszyć biodrami pociąg towarowy, ale nie mogłam ruszyć tego mężczyzny, który miał moc dwóch transatlantyków.

Czytałam o orgazmach i poprzednio myślałam, że parę udało mi się przeżyć, ale się myliłam. Dotąd nie trafił mi się prawdziwy orgazm. To nie żaden pojedynczy wielki wybuch. Przynajmniej w przypadku kobiety.

Tak się cieszę, że jestem kobietą. Jakim cudem seks u mężczyzny może być równie wspaniały, jeśli rzecz dzieje się p o z a jego ciałem? U kobiety wszystko jest głęboko, głęboko w środku i stamtąd promieniuje na zewnątrz.

Mam wrażenie, że orgazm najlepiej porównać do fal oceanu, bijących o plażę. Z mojego wnętrza szła fala za falą i docierała do najdalszych granic ciała. To trwało i trwało bez końca, pulsowało, sięgało coraz dalej, cofało się początkowo z pośpiechem, ale stopniowo stawało się coraz wolniejsze, gasło, z rozżarzonej bieli przechodziło w połyskliwy blask.

Palce u rąk i nóg bolały mnie, jakby wewnętrzne fale rozciągnęły je do granic możliwości.

Po chwili odzyskałam oddech i tę kobietę wewnątrz mnie, tę boginię, o istnieniu której nie miałam pojęcia, ogarnęło zmęczenie i zaczęła się oddalać. Z jej odejściem ubywało mi sił. Pozbawiła

mnie również gniewu i zadrzotności wobec całego świata. Nigdy w życiu nie czułam się równie spokojna i pełna słodyczy.

Kiedy ten mężczyzna pocałował mnie w ucho, uśmiechnęłam się sennie, przytuliłam do jego spoconego ciała i idąc śladem mojej wewnętrznej bogini, zasnęłam.

Później, kiedy się obudziłam nadal w ramionach Kane'a, którego skóra dotykała mojej skóry, nagle wiedziałam, że muszę zaznać z nim czegoś więcej niż tylko najwspanialszego kochania się w historii świata.

Pewnego razu, gdy byłam jednym z sędziów podczas wyborów Miss Stanów Zjednoczonych, wśród wielu innych instrukcji usłyszałam, żeby nigdy nie dawać oceny niższej niż pięć. Powiedziano nam, i ja się z tym zgodziłam, że dziewczęta bardzo się starały i zasługują przynajmniej na pięć w każdej kategorii.

Organizatorzy konkursu poprosili miejscowe ochotniczki, by zastąpiły uczestniczki wyborów na czas prób, abyśmy mogli poćwiczyć na komputerach. Obok mnie siedział ten sławny aktor Richard Woodward i kiedy pierwsza ochotniczka zrobiła w naszym kierunku kilka piruetów, dał jej dwa i dwie dziesiąte. Nie znałam człowieka osobiście, lecz wiedziałam, że nasze oceny wyskoczą na ekranie i wydało mi się, że nie postąpił uprzejmie dając tej miłej, zdenerwowanej panience tak niską ocenę, więc powiedziałam mu o tym.

Richard popatrzył na mnie i spytał:

- Jesteś prawdziwą pisarką, no nie?

Bardzo mi to pochlebiło, bo dla mnie „prawdziwa pisarka” to laureatka Nagrody Pulitzera. To ktoś, kto zgarnia nie forszę, lecz dowody uznania. Rumieniłam się po tym wyniesieniu mnie na piedestał, a Richard burknął:

- Prawdziwi pisarze są nieuleczalnie wścibscy i nie umieją trzymać buzi na kłódkę.

Tak pokładałam się ze śmiechu, że facet, który usiłował nas podszkolić, wezwał mnie do siebie. Od tej pory jesteśmy z Richardem wielkimi przyjaciółmi.

No cóż, więc jestem w każdym znaczeniu tego słowa „prawdziwą” pisarką. Jestem wścibska i nie umiem trzymać buzi na kłódkę. Jeśli ktoś mi powie o swoim niedawnym rozwodzie, zaraz pytam: „A dlaczego się rozeszłaś?”

Kane i ja zostaliśmy sobie przedstawieni i przeżyliśmy wspólnie tyle, że mogliśmy przynajmniej zwracać się do siebie po imieniu, więc zapytałam:

- Jakim cudem zimowałeś na ławie rezerwowych od śmierci żony? Nienawidziłeś jej czy jak?

Subtelność nie należy do cech mojego charakteru, a poza tym przekonałam się, że bezpośrednio albo zamurówuje ludziom usta, albo rozwiązuje na dobre język.

Czułam wahanie Kane'a i jakoś zdałam sobie sprawę, że nigdy nie opowiedział nikomu, ale to nikomu na Ziemi, prawdy o żonie. Podczas gdy on podejmował decyzję: wyznać mi prawdę, czy nie wyznać, wstrzymałam oddech, bo nagle zapragnęłam dowiedzieć się, co ten człowiek ma w środku. W tym właśnie momencie stał mi się bliski. Może sprawił to seks, może wygląd Kane'a, może słodycz jego oddechu, a może był to mój głód usłyszenia opowieści, ale nie sądzę. Sądzę, że zadecydowało przeczucie, że jest w nim coś więcej poza muskularni i seksapilem. Wiedziałam, iż mężczyzna, który potrafił dostarczyć mi takich przeżyć, nie był niewrażliwą kłódą. Z pewnością ukrywał żywe wnętrze.

- Mam brata bliźniaka - powiedział.

Nie puściłam pary z ust. Kilka razy zastanawiałam się, dlaczego Mike poprosił, bym nie mówiła o nim Kane'owi.

- W mojej rodzinie funkcjonuje kretyńskie powiedzenie: Ożenisz się z tą, która rozróżni bliźniaków.

O Boże, pomyślałam. Nic dziwnego, że Mike miał już jeden powód, żeby prosić mnie o trzymanie języka na kłódkę. Mam wyjść za męża? Ja? Wyjść za jakiegoś potężnego, wielgaśnego pastucha, którego jeszcze parę godzin temu nie cierpiałam całym sercem?

- Czy twoja żona to potrafiła? - zapytałam głosem, który ledwo wydobywał mi się z gardła.

Kane chyba nie zwrócił uwagi na mój stan. Zaczął opowieść o tym, jak to poznał ją w Paryżu.

W Paryżu? Co jakiś kowboj miał do roboty w Paryżu? Woził swojego najlepszego byka do fryzjera?

W każdym razie był w Paryżu, poznał ją, zakochał się bez pamięci i ożenił po sześciu dniach. Przed ślubem zadzwonił do matki, która posłała Mike'a, żeby sprawdził pannę młodą. Kane zeszytniał wspominając rodzinny test.

- A kiedy nie potrafiła nas rozróżnić, było po sprawie - rzekł.
- Nikt z rodziny poza Mike'em nie był na ślubie. Przekreślili ją z powodu tej głupiej legendy.

Nie odzywał się potem, więc spytałam:

- Ale była ci bliska?

Modliłam się, by nie powiedział mi, że legenda okazała się prawdziwa, że w dwa tygodnie po ślubie przestał kochać żonę.

- Taaa, kochałem ją. Kochałem do szaleństwa. Byliśmy idealnie dobrani. Byliśmy dwiema połówkami całości. Kiedy coś przychodziło jej do głowy, ja też wpadałem na to samo. Lubiliśmy te same potrawy, tych samych ludzi, mieliśmy identyczne pragnienia w tym samym momencie.

Gdybym mieszkała z kimś takim, zwariowałabym w tydzień. Prawdę mówiąc, raz chodziłam z podobnym chłopakiem. Wszystkie dziewczyny w akademiku mówiły, że miałam wielkie szczęście, aleja myślałam, że dostanę świra. Pewnego wieczora oświadczyłam, że mam ochotę na włoską kuchnię i kiedy on powiedział, że myśli o tym samym, ruszyłam do ataku.

- A co, gdybym miała ochotę na chińszczyznę? A co, gdybym chciała zjeść pekińskiego kota?! - darłam się na tego biedaczynę.
- Czy ty nigdy nie potrafisz myśleć po swojemu? Czy ciebie nie stać na porządną, staromodną kłótnię o to, gdzie zjemy dziś wieczorem?

Czy muszę dodawać, że ten właśnie młodzieniec nigdy więcej nie dał znaku życia?

Nauczyłam się dawno temu, że większość ludzi jest do mnie

niepodobna, więc może większość ludzi ma szczęście żyć w całkowitym spokoju i harmonii. Osobiście nigdy nie zaznałam spokoju, ale intuicja podpowiadała mi, że nie jest to coś, do czego miałabym wrodzony talent.

Zaraz po tym, jak Kane opowiedział mi o zmarłej żonie, zdałam relację o bratowej i przez chwilę wydawało mi się, że jest w niej zakochany. Lecz wyjaśnił, że rodzina zaakceptowała żonę Mike'a, Samanthę, ale nie zaakceptowała jego żony. W głosie pojawił mu się gniew, niemniej jednak z ulgą mogę stwierdzić, że nie było tam zazdrości.

Co więc mam teraz zrobić? - pomyślałam. Powiedzieć: „Hej, ja potrafię rozróżnić bliźniaków”? Nie za bardzo wierzę w sztuczki magiczne - pokazy prestidigitatorów mnie usypiają - więc jestem pewna, że w Ameryce są setki kobiet, które potrafią odróżnić Kane'a od jego bardzo odmiennego brata. Kane żeniąc się następnym razem powinien wybrać któraś z nich i uszczęśliwić rodzinę.

Mówił dalej, nie przestając opisywać swój ideał żony. Powstrzymałam się od jakichkolwiek sarkastycznych uwag o tym, jak „idealne” było to wszystko - mam tu na myśli idealnie nudne. Idealne rozmowy, idealny seks, idealne dzieci. Czy, gdyby żyła, przeszliby idealny rozwód? Może by się nie rozwiedli, może tylko jestem cyniczna, ale każde znane mi małżeństwo, w którym żona mówiła: „Mój mąż to skarb. Nigdy się nie kłócimy”, kończyło się rozwodem. W trwałych związkach żona zaczyna od stwierdzenia: „Mój mąż to skaranie boskie” i następnie rozwija temat. Może problem polega na tym, że ludzie chętniej mówią o swoich nadziejach i unikają spojrzenia w twarz prawdziwej?

Kane przeszedł do opisywania mi samotności po jej śmierci i tego, jak nie pozwolono mu opłakiwać żony. Każdy w rodzinie prezentował tę samą postawę: Trzymaj się dzielnie i myśl o synach. Chciał sięść w ciemnym pokoju i płakać całymi dniami, ale to teściowa opłakiwała córkę, podczas gdy on musiał być dzielny i wysłuchiwać żalów wszystkich pozostałych. Jak mogą opłakiwać jej śmierć - zdumiewał się - skoro nigdy nie zachwycali się nią za życia?

W końcu nie udało mu się wypłakać. Każdy uważał, że tak naprawdę należy zająć się chłopcami, że potrzebna im jest matka. Nie w stylu Kane'a było krzyżeć, że on z kolei potrzebuje żony, więc zdusił łzy i żył jak dawniej, poza tym, że teraz nikt nie czekał na niego wieczorem w domu. Nikt nie śmiał się z jego żartów, nikt nie masował mu zmęczonych ramion, nikt nie krytykował jego pomysłów i nikt się z nim nie kochał.

Nie wiem, dlaczego ludzie zwykli mi się zwierzać ze swoich najbardziej osobistych sekretów. Być może dlatego, że okazuję im zainteresowanie, ale może i dlatego, że stać mnie na empatię.

Widziałam odcinek *Star Trek*, w którym pewna kobieta okazywała idealną empatię: dosłownie czuła radości i niedole innych. Ze mną jest tak samo. Myślę, że wynika to z mojej umiejętności skupienia i tak dokładnego wsłuchiwania się w ludzkie problemy, że pragnę je rozwiązać za nich. Jeśli czegoś zapragnę, prę do celu. Mam wtedy klapki na oczach i nic mnie nie rozprasza, nic nie potrafi mnie zniechęcić.

Dopiero poznawszy pewną naprawdę koszmarną sekretarkę przekonałam się, że nie wszyscy są do mnie podobni. Hilary powiedziała mi, że jej życiowym marzeniem jest pisanie książek dla dzieci. Prawdę mówiąc, ma jedną gotową i brak jej tylko wydawcy.

Nie wiem, skąd się to u mnie bierze, ale wierzę ludziom bez zastrzeżeń. Hildy oświadczyła, że zależy jej na wydawcy, więc zrealizowałam kilka długów wdzięczności i postarałam się o jedną z najlepszych redaktorek książek dla dzieci w Nowym Jorku. Potem trzy dni siedziałam przy telefonie i szukałam Hildy. Kiedy w końcu udało mi się ją dopaść, późno wieczorem w niedzielę, oznajmiła wściekła, że ponieważ nie zadzwoniłam do niej zgodnie z wcześniejszą obietnicą, wysłała pocztą rękopis do oceny innemu wydawnictwu. Oczywiście, dostała odpowiedź odmowną i uważała, że to moja wina!

Dopiero po długim czasie pojęłam, na czym Hildzie tak naprawdę zależało. Chciała móc rozpowiadać na prawo i lewo, że kiedyś chce wziąć się do pisania książek dla dzieci.

Ponieważ słucham ludzi bardzo uważnie i na ich rozpaczliwe westchnienia reaguję propozycjami pomocy, które realizuję co do joty, to pewnie dlatego ludzie zwierzają mi się ze swoich kłopotów.

Ale nie miałam pojęcia, w jaki sposób mogę pomóc Kane'owi. Może dałoby się zgromadzić jego rodzinę i porządnie ją ochrzanić. Może wzięłabym na jakiś czas jego chłopców, by mógł zaszyć się gdzieś sam i rozpaczać. Jednak odnosiłam wrażenie, że nie dałby mi ich. Może powinnam powiedzieć: „Kane, potrafię odróżnić cię od brata. Więc pewnie bardziej do ciebie pasuję niż twoja idealna żona.”

Taaa, racja. Wielki kowboj-przystojniacha, dla którego idealną wizją rozrywki było czyszczenie końskich kopyt, i wyszczekana dziewczyna z miasta. Miałam wyjść za niego, przenieść się na ranczo i prezentować owce na stanowych jarmarkach? A może Kane przeniesie się do Nowego Jorku, zostanie panem Andersonem i będzie mi donosił drinki na wieczorach autorskich?

Z drugiej strony, spoglądając w twarz gołej, nieubłaganej prawdzie, nie potrafię wyobrazić sobie, żeby ktoś chciał ze mną mieszkać. Nie ma co robić z tego melodramatu, ale jeśli twoi rodzice cię nie lubią, to nigdy nie uwierzysz do końca, że ktokolwiek może cię polubić.

Powiedzieć, że między Kane'em i mną po kochaniu się i rozmowie zapanowała dziwna sytuacja, to niedopowiedzenie stulecia. Nie wiem, jak długo bylibyśmy tam nie niepokojeni, wpołobjęci, gdyby Sandy nie zjawił się z chłopcami. Z chwilą, w której usłyszeliśmy głosy, czar prysł i nagle popatrzyliśmy na siebie ze zgrozą i zażenowaniem. Ubrałam się najszybciej, jak się dało, krzywiąc się z bólu, bo starłam sobie kolana do żywego mięsa. Sięgnęłam po buty i okazało się, że sznurówki są zerwane. A więc to tak udało mu się je zdjąć - pomyślałam, a potem musiałam męczyć się schodząc po drabinie w spadających z nóg butach.

Sandy'emu stojącemu za chłopczykami wystarczyło jedno spojrzenie na naszą dwójkę i wiedziałam, że on wie, co się wydarzyło. Nie potrafiłam spojrzeć w oczy jemu ani Kane'owi, więc skupiałam się na chłopcach.

Sandy sprowadził konie i musiałam wrócić wierzchem, co okazało się dość wygodne, biorąc pod uwagę stan moich butów. Po powrocie do obozu nie patrzyłam na Kane'a, a kiedy podał mi kłębek mocnego szpagatu i zaoferował, że zawiąże mi buty, wyrwałam mu szpagat i powiedziałam, że zrobię to sama. Wiedziałam, że stoi i patrzy na mnie chwilę, ale ja mu się nie przyglądałam.

Poprzedniej nocy spałam na powietrzu w pobliżu mężczyzn i chłopców, podczas gdy wszystkie kobiety spały w starym domu,

ale tej nocy poszłam do kobiet. To, co się wydarzyło między mną a tym durnym kowbojem, to był przypadek i nie zamierzałam go wzbogacać o jakiś błąd. Jutro wracam do Chandler, nawet gdybym miała to zrobić na piechotę.

A jeśli już mowa o wypadkach, to zaczęłam się zastanawiać, czy właśnie nie zaszłam w ciążę. Trudno mi było sobie przypomnieć, by została użyta jakaś forma kontroli urodzeń.

- Mogę mieć skrobankę - powiedziałam w ciemną noc.

Prędzej by mnie szlag trafił, niż zabiłabym własne dziecko! Poprzednio nie myślałam wiele o dziecku, ale teraz wyobraziłam sobie, jak kołyszę się na bujaku o trzeciej w nocy, karmię niemowlę z ciemnymi włoskami na łepetynie, piszę konspekt kolejnej powieści. Wyobraziłam sobie, jak bandażuję kolano trzylatka i scałowuję dziecięce łzy. Wyobraziłam sobie gosposię piorącą pieluchy i zmywającą tartą marchewkę ze ściany w kuchni. Hej, jestem realistką!

Nie mogłam zasnąć przez wiele godzin, a kiedy się obudziłam, w pokoju nie było nikogo poza mną.

Następnego dnia niewiele kontaktowałam się z Kane'em. Prawdę mówiąc, praktycznie w ogóle go nie widziałam, co mi odpowiadało, bo nie byłam pewna, co do niego czuję. Pojechał z Ruth do lasu i zostawił mi na głowie swoich cudownych chłopczyków. Dokładnie biorąc, zostawił ich Sandy'emu, ale zajęłam się nimi i bawiliśmy się świetnie łąząc po absolutnie wszystkich starych domach w Eternity, wymyślając opowieści o ludziach, którzy tam żyli i o tym, jak umarli. Po południu położyli mi główki na podółku, każdy z innej strony i opowiadałam im bajki, aż usnęli.

Koło trzeciej wróciliśmy do obozu, ale był tam tylko Sandy, drzemający w cieniu. Chłopcy natychmiast rzucili się na niego, a że najwyraźniej chciał się z nimi pobawić, niechętnie zrezygnowałam z opieki nad malcami i skierowałam się starą drogą za miasteczko, na której zobaczyłam furgonetkę i wiedziałam od razu, że ten samochód ma zabrać mnie z powrotem do Chandler. Zebrałam się w sobie, ale zobaczyłam Mike'a stojącego obok wozu i kolejny raz pomyślałam ze zdumieniem, jak różni się od Kane'a. Mike miał krótkie, grube rzęsy, wąskie usta i wyglądało, że szybko obrośnie w tłuszcz. Poza tym miał wyższy głos w porównaniu z głębokim basem Kane'a.

- Cześć Mike - powiedziałam. - Jak noworodki?

Odwrócił się do mnie i zrozumiałam, że coś jest nie tak. Nie

musiałam zaprząć do pracy zbyt wiele szarych komórek, żeby połapać się, w czym rzecz. Za późno zobaczyłam parę butów, odwróconą podeszwami do góry, wystającą z samochodu.

Dlaczego mężczyźni uwielbiają wisieć głową w dół w samochodzie i zaglądać pod deskę rozdzielczą? Może to kolejny etap ich rozwoju, kiedy to matki uświadamiają im, że dobre maniery nie dopuszczają leżenia na podłodze i zagładania dziewczętom pod spódniczki.

- Chcesz klucz? - spytał brata Mike i przez chwilę oboje wstrzymaliśmy oddech. Może Kane mnie nie dosłyszał. Może wsadził głowę daleko między przewody i nie dotarło do niego, że właśnie się odsłoniłam.

Nigdy nie miałam szczęścia.

Kane nie udawał, że nie jest zły. Był wściekły. Nie patrząc na mnie ani na brata, wykręcił się na fotelu, wysiadł z auta i ruszył w górę najbliższego zbocza. Szedł prosto przez zarośla i kamienie, pokonując przestrzeń z energią, jaką dawała mu wściekłość.

Poszłam za nim, bo uznałam, że zasługuje na wyjaśnienie.

Co teraz? - zapytał, gdy tylko Cale go dogoniła. - Powiniennem się oświadczyć?

Zignorowała ten sarkazm i nie udawała, że nie wiem, o czym mowa.

- Przecież muszą być inni ludzie, którzy odróżniają cię od brata.

- Matka, czasem ojciec, najmłodsza siostra... - Ściszył głos.

- I jego żona.

- To wszyscy?

Z jej głosu wyraźnie przebijało niedowierzenie.

Odwrócił się do Cale. Nie przypominał już uroczego kowboja, z którym kotłowała się na sianie. Uniósł brew i nozdrza mu latały.

- Niewątpliwie według ciebie wcale nie jesteśmy podobni.

Pewnie chodzi ci o rżęsy i to, że jeden z nas jest bardziej tłuŝty, zgadza się?

Nie zamierzała odpowiadać. Było to zbyt bliskie prawdy.

- Oczywiście wiesz, że to unieważnia legendę?

Patrzył na nią z tym samym wyrazem twarzy.

- Jak na to wpadłaś?

- Twoja żona nie potrafiła was odróżnić, ale byliście parą stulecia. Ja odróżniam cię od brata, ale się nie znosimy. - Zrobiła krótką pauzę. - Z wyjątkiem seksu - powiedziała łagodnie.

Odwrocił wzrok.

- Taaa, z wyjątkiem seksu.

- Powinieneś ożenić się z kimś normalnym, kimś, kto chce być żoną i matką, mieszkać na ranczo, jeździć konno, doić krowy i tak dalej. Przede wszystkim nie powinieneś myśleć... nie powinieneś nawet brać pod uwagę... małżeństwa, tylko dlatego, że miałeś z tym kimś wspaniałe... to znaczy zupełnie normalne seksualne przeżycie. Takie rzeczy się zdarzają. Założę się, że takie rzeczy zdarzają się z każdą grupą, którą prowadzisz... Zwłaszcza z kobietami z Nowego Jorku. - Zaczęła się rozkręcać. - W Nowym Jorku wszyscy tak boją się zarażenia, że kobiety nie czują się bezpieczne - co nie znaczy, że popieram przypadkowe kontakty - ale czują się bezpieczne przy wielkim, czystym kowboju, który spędził całe życie w czystym, niewinnym Kolorado. No, bo wiesz, co można złapać od kowboja? Pryszczycę? Wąglik? Czy to nie to samo? W każdym razie, to się po prostu zdarzyło. Akurat był czas i miejsce ku temu. Założę się, że gdyby Ruth siedziała w tym oknie, to wtedy ona... wtedy ona... wtedy byś z Ruth...

Mówiła coraz wolniej i ze zgrozą uświadomiła sobie, że czuje zazdrość. Gdyby, pomyślała. Gdyby! Gdyby Ruth tam była, Kane ściągnąłby z parapetu Ruth. I wtedy Ruth i Kane...

Wstała, otrzepała spodnie na siedzeniu.

- Na świecie są miliony kobiet. Wyjdź im na spotkanie i znajdź kogoś pasującego do tej legendy. Ja się do tego nie nadaję. Nie jestem żadną księżniczką z wieży.

Przez całą drogę powrotną z tej góry, przy każdym kroku miałam nadzieję, że pójdzie za mną. Ponieważ moje myśli są moją własnością, uznałam, że mogę sobie pofolgować. Nie było nikogo, komu miałabym je przekazać i nikt nie mógł się ze mnie śmiać.

Wiedziałam, że to głupie pragnienie. Wiedziałam, że zupełnie nie pasujemy do siebie, bo prawie nie zamieniliśmy słowa jak cywilizowani ludzie. Poza jednym popołudniem cudownego, boskiego, niebiańskiego seksu, po którym ten piękny mężczyzna trzymał mnie w ramionach i odsłaniał swoją duszę, zawsze się żarliśmy. Nie cierpieliśmy się potężnie. Nie łączyło nas nic. Może z wyjątkiem tej dwójki chłopców, których pragnęłam mieć. Ale pragnęłam abstrakcyjnie. Myślałam sobie tak: wywieźć tych cudownych malców z dzikiego Kolorado, z czystego powietrza górskiego stanu i umieścić ich na nowojorskim poddaszu, gdzie za cały teren do zabawy będą mieli taras? Oczywiście, wychowanie w Kolorado nie dawało gwarancji szczęśliwego dzieciństwa. Może dzieciakom spodoba się wielki, brudny Nowy Jork. A może ja mogłabym się przenieść do Kolorado.

Żaden z tych pomysłów nie na wiele mi się przydał, bo kowboj nie pobiegł za mną, nie padł na kolana i nie powiedział, że nie może żyć beze mnie. Prawdę mówiąc, został na szczycie góry.

Mike był na dole. Wcale nie uznałam, że świadczy to o tym, że na mnie czeka, ale przyzwoicie udawał, że jest przejęty. Byłam tak załamana, że nawet nie zasugerowałam mu, że powinien od czasu do czasu wpaść do sali ćwiczeń. Mike prawie, prawie, dorównywał Kane'owi.

- Chcę jechać do domu - powiedziałam.
- Do domu?

Głupi ton, jakim Mike zadał to pytanie, dorównywał wrażeniu, jakie kiedyś robił Kane. Ale Kane nie był głupi. Był inteligentny, zabawny, miły i... pragnęłam, żeby uwierzył w tę starą, durną legendę. Moje marzenia zaczęły mną rządzić i wyobraziłam sobie ojca, który pod groźbą dubeltówki zmuszą nas do zawarcia ślubu i spełnienia przepowiedni. Gdzie się podziewają ojcowie z dubeltówkami, kiedy są naprawdę potrzebni?

- Tak, do domu - powiedziałam. - Mój dom jest w Nowym Jorku.

Mike popatrzył na stok, ale wiedziałam, że nie dojrzy brata.

- Pożegnaliśmy się na górze.

- Ale...

Najwyraźniej nie wiedział, co powiedzieć. Niewątpliwie zrobił to, czego od niego oczekiwano, i zaciągnął żonę przed trybunał rodzinny, zanim w ogóle zastanowił się nad małżeństwem. Och, dobra, to wspaniale, że nic więcej nie wyniknie między Kane'em i mną, bo nie umiem zachować się na rodzinnych konklawe i pewnie nie cierpiałabym jego krewnych.

- Mike - wycedziłam tak powoli, jakby była to szczerza prawda - zawieź mnie do Chandler, żebym mogła opuścić ten stan. Chcę wrócić tam, gdzie człowiekowi najwyżej grozi, że ktoś mu wytnie serce.

Nie złamię, jak to robią w Kolorado.

Musiałam uciec wzrokiem w bok, bo zaczęłam ulegać mojemu pociągowi do dramatycznych wystąpień. Ten jedyny raz chciałam spokojnie zejść ze sceny. Żadnych spazmów, żadnego wściekania się. Wyjadę spokojnie, z podniesionym czołem.

Mike pomógł mi się spakować, ale grzebał się całą wieczność. Wiedziałam, że w ten sposób daje bratu czas na podjęcie decyzji. Ale Kane podjął już decyzję. I miał rację będąc tak przewidujący. Byłaby ze mnie koszmarna żona. Zajęta książką przez całe dni zapomniałabym o przygotowaniu jedzenia. Musiałabym mieć piastunkę do dzieci, bo o nich też pewnie bym zapomniał. I niech Pan Bóg strzeże tego mężczyznę, gdyby wszedł mi w drogę! Zaparłabym się i zrobiła wszystko na przekór, tylko dlatego, że miał inne zdanie niż moje. Jednym słowem: dla kogoś takiego jak ja lepiej było mieszkać osobno. Lepiej być wolnym. Tak, o to chodzi. O wolność. Wolność przychodzenia i znikania, kiedy mi się podoba. Wolność i... nikt nie pośmieje się z moich kawałów, nikt nie rozmasuje mi ramion zdrętwiałych przy klawiaturze, nikt nie posłucha moich najnowszych pomysłów. Nikt nie będzie się ze mną kochał.

Mike zwłóczył do zachodu słońca, a potem zaczął wyszukiwać powody, dla których nie powinniśmy wyjeżdżać do rana.

- Kolorado jest tak zapóźnione w rozwoju, że auta nie mają tu reflektorów? - zapytałam moim najbardziej wojowniczym nowojorskim tonem.

Ustąpił i zawiózł mnie do tej małej miejsciny, do Chandler. Chciał mi pokazać dom rodziców. Ale po co? Żeby wsadzić mnie do łóżka Kane'a, licząc na to, że brat wróci nocą i natknie się na mnie w pościeli?

Kazałam zawieźć się do motelu i o dziesiątej następnego dnia Mike podrzucił mnie na lotnisko, skąd małym samolotkiem poleciałam do Denver, a stamtąd do Nowego Jorku.

Moja redaktorka nie była ze mnie zbyt zadowolona. Przez następne sześć tygodni po powrocie z Kolorado nikogo nie zabiłam. Na papierze, rzecz jasna. Ponieważ wydawcy przysyłali mi te wszystkie kochane pieniądze za zabijanie ludzi, też nie byli ze mnie zbyt zadowoleni.

Rzecz nie w tym, że nie pisałam. Pisałam przez dziesięć do czternastu godzin dziennie, ale głównie o parach skojarzonych dzięki ogłoszeniom w gazecie i ślubach wymuszonych zaawan-sowaną ciążą. Posyłałam jedynie szkice do oceny, lecz nie ukończyłam żadnej z tych opowieści.

Na początku siódmego tygodnia redaktorka zjawiła się na rozmowę.

- Problem nie w tym, że przeszkadza nam zmiana gatunku - oświadczyła cierpliwie. (Wszystkie redaktorki z wyjątkową cierpliwością i taktem przekazują złe wiadomości autorom bestsellerów. Zupełnie przypomina to rozmówki z oszalałym gościem, wymachującym maczetą: „Nie mamy ci za złe, że chcesz odrąbywać ręce i nogi, i kaleczyć...”) - Ostatecznie romanse przynoszą fortuny.

Dzięki Bogu, że nie brałam się do pisania czegoś, co nie przynosiło pieniędzy - na korytarzach mojego domu wydawniczego wybuchłaby masowa histeria.

Ściszyła głos i uśmiechnęła się słodko.

- Chodzi tylko o to, że twoje romanse są zupełnie nietrafione. Są takie smutne.

Życie jest pokręcone, prawda? Zabijasz ludzi książka po książce i nikt tego nie uważa za smutne, ale niech no tylko heroina zakocha się w facecie, który potem oddali się w kierunku zachodzącego słońca, a okaże się, że jest to smutne. Gdybym zabiła tego s...syna, opowieść byłaby tragedią. Tragedia jest super, morderstwo jest bomba, ale smutna historia to już nie jest cacy. Gorzej - smutna historia źle się sprzedaje.

Wysłuchałam wszystkiego, co miała mi do powiedzenia, i zauważyłam, że tym razem nie przyniosła mi kwiatów ani jedzenia - namacalny dowód, że moi wydawcy byli naprawdę rozdrażnieni. Założę się, że mieli ochotę potrząsnąć mną, aż przejrzę na oczy, uświadomię sobie, że moim obowiązkiem jest zabijanie ludzi na papierze i utrzymywanie rodzin wszystkich pracowników wydawnictwa.

Co zabawne, ja chciałam pisać kryminały! Lubiłam się pieklić, kłócić się z taksówkarzami i czułam się pewnie, wyobrażając sobie, którą postać wkrótce zabiję. Wczoraj chciałam pojechać do Saksa oddać nie pasującą sukienkę i powiedziałam taksjarszowi, żeby zawiózł mnie na róg Piętnastej i Piątej. Dziesięć minut później jadę w stronę Pierwszej Alei -jest to przeciwny kierunek niż do Saksa. Powiedziałam tylko spokojnie:

- Jedziesz w złym kierunku.

Gdy kierowca wyjaśnił mi za pomocą siedmiu słów, będących całą jego skarbnicą języka angielskiego, że jest pierwszy dzień w pracy, uśmiechnęłam się, powiedziałam, którą ma jechać, zapłaciłam za całą wycieczkę i dałam dolara napiwku. Wiercie mi, to do mnie zupełnie niepodobne.

Cale była w swoim mieszkaniu. Przy otwartych drzwiach na taras zmagala się z gniotem opiewającym nie odwzajemnioną miłość, gdy usłyszała hałas śmigłowca. Początkowo nie zwracała na niego uwagi, ale rósł i zaczął dolatywać ze stałego miejsca, jakby tuż znad okien. Rozdrażniona zmarszczyła brwi, podeszła zamknąć drzwi i ujrzała, że helikopter faktycznie wisi nad jej tarasem. Przecież to nielegalne, pomyślała. Przecież przepisy Nowego Jorku zabraniają helikopterom latać tak nisko nad domami mieszkalnymi.

Położyła rękę na klamce, gotowa zamknąć drzwi, gdy usłyszała dziwny odgłos. Zaciekawiona podniosła spojrzenie ku hałaśliwej maszynie, od której biły podmuchy wiatru, i otworzyła usta w zdziwieniu.

Z helikoptera opuszczał się na grubej linie, trzymając nogę w strzemieniu, jakiś mężczyzna. Cale w pierwszym odruchu chciała zatrzaskać drzwi i uciec z mieszkania, ale popatrzyła raz jeszcze. Mężczyzna miał na nogach kowbojskie buty w kolorze ciemnego karminu. Przez całe swoje życie poznała tylko jednego mężczyznę, który nosił kowbojskie buty: Kane'a Taggerta.

Chciała zamknąć drzwi i wrócić do mieszkania, ale nie mogła. Wyszła na taras i przyglądała się powolnemu zjeżdżaniu. Co jeszcze bardziej absurdalne, o godzinie czwartej po południu miał na sobie smoking i jeśli dobrze widziała, pod pachę wetknął sobie butelkę szampana, a w ręce trzymał dwa wysokie, wąskie kieliszki.

Cofnęła się, gdy wylądował i wyjął stopę ze strzemienia. Nie odezwała się słowem, kiedy zasygnalizował pilotowi, że wszystko w porządku. Nawet gdy helikopter odleciał i zapadła cisza, Całe się nie odzywała. Patrzyła na tego wielkiego mężczyznę stojącego na jej tarasie i czekała, aż coś powie.

Z lekkim uśmiechem postawił szampana, otworzył butelkę, nalał wina i podał jej kieliszek. Nie wzięła go.

- Czego chcesz? - zapytała z całą wrogością, na jaką potrafiła się zdobyć.

Zanim odpowiedział, pociągnął duży łyk.

- Przyleciałam prosić cię o rękę.

Bez chwili wahania odwróciła się i ruszyła do mieszkania. Gdy Kane złapał ją za ramię, wyrwała się z uścisku.

- Odczep się ode mnie. Nigdy więcej nie chcę cię widzieć na oczy.

- Cale...

Odwróciła się do niego błyskawicznie.

- Wierzyć mi się nie chce, że wiesz, jak mam na imię - rzuciła ostro. - Myślałam, że jestem „ta pisarka”. - Westchnęła, narzuciła sobie spokój. - Dobra, zrobiłeś wielkie *entree* i jestem pod wrażeniem, więc już możesz iść. Możesz skorzystać z windy, chyba że planujesz skok ze spadochronem.

Kane zastawił sobą drzwi tarasowe.

- Chyba zasłużyłem na to, co mi serwujesz. Wiem, że byłem gburem. Ty mi to powiedziałaś, Mike mi to powiedział, Sandy, moi synowie mi to powiedzieli. Nawet moja matka i bratowa, chociaż żadna z nich cię nie poznała, opisały mi obrazowo, że jestem idiotą, głupcem i ogólnie biorąc durniem.

Cale w najmniejszym stopniu nie poruszyło to, co usłyszała.

- Jestem pewna, że są inne kobiety, które potrafią odróżnić cię od brata, więc poszukaj sobie którejś. Szkoda na mnie twoich starań.

Kane znów złapał ją za ramię.

- Tu nie chodzi o tę sprawę z rozróżnianiem bliźniaków. Chodzi o to, że dzięki tobie przestały mnie prześladować wspomnienia o żonie.

Zmarszczyła brwi.

- Zapomniałeś o niej dzięki Ruth.

Kane puścił jej ramię i podszedł na brzeg tarasu, skąd spojrzął na tylną ścianę General Motor Buildings. Zanim go zbudowano, z tego miejsca rozciągał się daleki widok na Hotel Plaża i Central Park.

- Nie wiem, może ci to ktoś powiedział, a może nie, ale Ruth przypomina z wyglądu moją żonę. Zobaczyłem jej zdjęcie i zacząłem marzyć, że uda mi się wrócić do tego, co kiedyś miałem. Sądziłem, że przywrócę Janinę do życia; myślałem o piknikach i spacerach przy księżycu, i o naszej czwórce przytulonej do siebie. Nigdy nie zadawałem sobie pytań co do Ruth, bo myślałem, że ją znam. Straciła męża i dziecko w wypadku, tak jak ja straciłem żonę, więc sądziłem, że jesteśmy dla siebie stworzeni. - Odwrócił się do Cale i nie ujrzał na jej twarzy przebaczenia. - Myślę, że spodobałaś mi się od pierwszego wejrzenia. Siedziałaś na tej walizce, wściekła na cały świat. Potem zaczęłaś kichać i kiedy popatrzyłaś na mnie...

- Uśmiechnął się szeroko. - No, poczułem się pod tym spojrzeniem jak gwiazdor filmowy, mistrz sportu i astronauta w jednej osobie. Pomyślałem, że jesteś najładniejszą dziewczyną, jaką spotkałem od lat i to zirykowało mnie jak jasna cholera. - Popił szampana. - Byłem koszmarny z tym grzechotnikiem. Powinienem ci podziękować, ale skoro okazałaś się jednocześnie zaradna, odważna i piękna, nie pasowałaś do moich planów. Tam była Ruth, mój ideał kobiety, a ja pożałowałem wojowniczej blondyneczki. Przez ciebie poczułem się... no, cudzołożnikiem.

Wypił kieliszek do dna, znów sobie nalał i stanął plecami do Cale.

- Ostatni miesiąc spędziłem z Ruth Edwards. Zabrało to dużo czasu, ale w końcu uświadomiłem sobie, że ona nie jest Janinę, że jest kimś zupełnie innym. Prawdę mówiąc, jest kimś, kto niezbyt mi się podoba. - Zachichotał. - I moi synowie jej nie cierpią.

Odwrócił się do Cale. Nadal stała przy drzwiach. Miała nieprzeniknioną twarz.

- Więc jestem twoją rezerwą - powiedziała. - Daj spokój, kowboju, na pewno znajdziesz jeszcze inną kobietę, która ci się spodoba. Czemu uparłeś się przy kobietach z Nowego Jorku? Znajdź sobie jakąś miłą wiejską dziewczuszkę i...

- Mieszkam w Nowym Jorku - przerwał jej, ale wyraźnie nie zamierzał kontynuować tego tematu.

- Zrzuciłeś, co leżało ci na wątrobie, i możesz sobie iść.

Po tych słowach odwróciła się do drzwi, ale Kane wziął ją w ramiona, odwrócił do siebie i zaczął całować. Całował jej uszy, szyję, twarz.

- Kocham cię, Cale - powiedział z ustami przy jej ustach. - Kocham to, że dzięki tobie nie istnieją dla mnie żadne inne kobiety. Kocham twój cynizm, twoje poczucie humoru. Kocham to, jak patrzysz na moich synów, jak patrzysz na mnie. Kocham to, jak się kochamy. Kocham twoją zaradność, twoją wrażliwość, twoje pragnienia, twoje...

- Nie czuję żadnych pragnień!

Nie było łatwo pozbierać myśli, kiedy był tak blisko niej.

Kane parsknął na te słowa.

- Nigdy nie spotkałem nikogo, kto miałby więcej pragnień. Pragniesz - ucałował ją w czubek nosa - miłości. - Pocałował ją w policzek. - Ciepła. - Przy każdym pocałunku czule całował inną część jej twarzy. - Troskliwości. Rodziny. Bezpieczeństwa.

Wrywała mu się.

- A ty pragniesz szczeniaka!

Nie wypuścił jej z objęć.

- Pragnę kogoś, kto patrzy trzeźwo na świat. Pragnę kogoś, kto nie pozwoli mi pograć się w żalu nad sobą przez lata i oślepnąć na wszystko inne. Wyobrażam sobie, że gdyby przy tobie naszła mnie melancholia, dasz mi kopniaka, każesz mi przestać się mazgać i znajdziesz mi jakieś zajęcie. Nie sądzę, byś pozwoliła komuś pograć się w żalu nad samym sobą.

- Mówisz o mnie, jakbym była zarządcą plantacji.

Zachichotał, przyciągnął ją mocniej do siebie i otarł się o nią.

- Co mam powiedzieć, żeby cię przekonać, że cię Kocham i chcę się z tobą ożenić?

Cale odsunęła go na odległość ramienia.

- Słuchaj, wiem, że uważasz to wszystko za bardzo romantyczne. Odstawiliśmy numerka... no, dobra, może więcej niż numerka na sianie, i zacząłeś sobie myśleć, że to podstawa wspólnego życia. Ale nie możesz się ze mną ożenić. Ja... nie jestem materiałem na żonę.

- A dlaczego to? - zapytał, ale słyszała w jego głosie kpiącą nutę.

- Bo prowadzę poważny interes. Naprawdę poważny interes.

- Wzięła głęboki oddech i wymierzyła cios łaski, gwarantowane pchnięcie, które ostudza męskie zapały. - Zeszłego roku zarobiłam milion przecinek cztery dziesiąte miliona dolarów, a w tym roku zapewne zarobię jeszcze więcej.

Kane nadal się uśmiechał i nosem pogładził ją po uchu.

- W porządku, skarbie. Z tego da się żyć.

Odepchnęła go od siebie.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz, kowboju? Nie jestem zwyczajną kurką domową, która czeka na męża, kiedy wraca wieczorem do domu. Potrafię się tak zaangażować w moje opowieści, że zapominam o jedzeniu. Jak miałabym pamiętać o tym, że powinnam przygotować mężusiowi martini i skakać wokół niego? A może ty pijesz tylko piwo? I co to znaczy, że mieszkasz w Nowym Jorku?

- Znaczy to, że nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz. Taki ze mnie kowboj jak z ciebie cyrkówka. Ja operuję na giełdzie, mam do czynienia z prawdziwymi pieniędzmi, nie z takimi ochłapami, jakie ty zbierasz.

Wpatrywała się w niego z lekko rozchyłonymi ustami i szybko mrugała.

- Jedź dalej - powiedział - wyznaj mi najgorsze rzeczy. Bez względu na to, co powiesz, bez względu na to, co zrobiłaś, Kocham cię. Chcę, żebyś za mnie wyszła. Kupię piętro tego domu. Zamieszka tam z dziećmi i z nianią, żebyś mogła zatrzymać to

mieszkanie tylko dla siebie i miała gdzie uciekać od nas. Dostaniesz wszystko, czego zechcesz.

Myślała o wielu przyczynach, dla których nie powinna za niego wyjść. Nienawidziła go. Taaa, nienawidziła go tak samo jak nienawidziła pisanie książek. Od chwili wyjazdu z Chandler myślała tylko o nim. Na jawie i w snach, myślała tylko o nim i jego dzieciach.

- Nienawidzę cię - szepnęła tonąc w jego ramionach. - Naprawdę cię nienawidzę.

- Taaa, wiem - odparł. -I nie mam o to do ciebie pretensji. Ale jeśli przeżyjesz ze mną resztę życia, może zdołam zmienić ten pogląd.

Nie potrafiła się odezwać, bo czuła rosnącą kluchę w gardle. Rozległ się dzwonek przy drzwiach i wyrwała się z objęć Kane'a, usiłując przełknąć łzy.

- Muszę... muszę...

- To pewnie chłopcy. Chcą ci pokazać nowe książki i...

- Jamie i Todd są tutaj?

Natychmiast wbiegła do mieszkania i otworzyła drzwi na oścież. Po chwili wahania chłopcy rzucili się na nią i cała trójka potoczyła się po podłodze. Kane zaraz dołączył do nich i trzech mężczyzn zaczęło łaskotać Cale.

- Odpowiedz mi - zażądał Kane. - Odpowiedz mi teraz!

- Tak - odparła ze śmiechem Cale. - Tak, wyjdę za ciebie!

Kane jednym ruchem uwolnił Cale od chłopców i wziął ją w ramiona.

- Nie wiem, czemu tam na lotnisku od razu ci się nie oświadczyłem.

- Ja też tego nie wiem - szepnęła muskając go ustami. - Ja też.